BIBLIOTEKA
Z. N. im. Ossolińskich
141.949

ROK W POWIASTKACH I WIERSZYKACH

RYS. J. WRONIECKI

POZNAŃ 1912

Wykonano w drukarni „Pracy".

Paula Wężyk.

ROK
W POWIASTKACH I WIERSZYKACH

NAPISAŁA I UŁOŻYŁA

DLA DZIECI

PAULA WĘŻYK

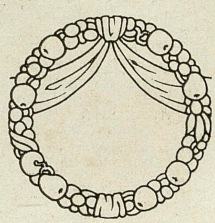

141949

141949

POZNAŃ
NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY".
(1913)

Spis rzeczy.

I.

Str.

STYCZEŃ (wiersz) 1
Rozmowa (wiersz) 2
Po kolędzie (wiersz) 3
Jaś i Janek (powiastka) 5
Kolęda sieroty (wiersz) 6
Co ja mam? (wiersz) 8
Kotek (wiersz) 9
Wróbelki (powiastka) 10

II.

LUTY (wiersz) 13
Na Matkę Boską Gromnicz. (wiersz) 14
Zabawa w śnieżka (wiersz) . . . 15
Na ślizgawkę (powiastka) . . . 16
Wróbelki (wiersz) 19
Ja doprawdy się nie chwalę (wiersz) 20
Czyjże to domek? (wiersz) . . . 21
Lekarstwo na nudy (powiastka) . 22

III.

MARZEC (wiersz) 26
Zimo, idź precz sobie! (wiersz) . 26
Janek brzęczymucha (wiersz) . . 27
Co nie twoje, tego nie rusz! (pow.) 29
Siwe włosy (wiersz) 32
Słuchajcie dzieci! (wiersz) . . . 32
Ranne odgłosy (wiersz) 33
Ofiara Józi (powiastka) 35

IV.

Str.

KWIECIEŃ (wiersz) 37
Skąpa Frania (wiersz) 37
Po cenzurki (wiersz) 38
Dziki królik (powiastka) 39
Święcone (wiersz) 41
Wielkanoc (wiersz) 43
Już po wakacyach (wiersz) . . . 44
Zgoda (powiastka) 44

V.

MAJ (wiersz) 48
Muszko, nie wchodź w nos! (wiersz) 49
Dzwoni święcony dzwon (wiersz) . 49
Kogucik (powiastka) 50
Jędruś i chrabąszcz (wiersz) . . 52
Do lasu! (wiersz) 52
Paciorek Janka (wiersz) 54
Legenda o Aniołach Stróżach (pow.) 54
Zagadki 56

VI.

CZERWIEC (wiersz) 61
Łakomy Wacek (wiersz) . . . 61
Zielone Świątki (wiersz) . . . 62
Do Częstochowy! (powiastka) . . 63
Do Dzieci na dzień I. Komunii św. (p.) 69
Przed procesyą (wiersz) 70
Przed wakacyami (wiersz) . . . 70
Kataryniarz (powiastka) 71

VII.

Str.

LIPIEC (wiersz) 74
Pracowity Franek (wiersz) . . 74
Przygoda lalki (wiersz) 75
Dwa listy 76
Modlitwa chorego dziecka (w.) . 79
Jurcio i pszczółka (wiersz) . . 80
Moja matusiu! (wiersz) 81
Sen Magdzi (powiastka) . . . 82

VIII.

SIERPIEŃ (wiersz) 85
Na przechadzce (wiersz) . . . 85
Anioł Stróż i dziecię (wiersz) . 86
Bociany (powiastka) 87
Brudasek (wiersz) 89
Tchórzliwa Mania (wiersz) . . 90
Na ulicy (wiersz) 91
Zagadki historyczne 93

IX.

WRZESIEŃ (wiersz) 96
Trzy rady (wiersz) 96
Mała gosposia (wiersz) 97
Co tobie nie miło, nie czyń drugiemu! (powiastka) 98
Zosia z mamą u piekarza (wiersz) 99
Łakoma myszka (wiersz) . . . 99
Psotny Jaś (wiersz) 101
List Kazia do Józia 102

X.

Str.

PAŹDZIERNIK (wiersz) . . 112
Do Matki Boskiej Różańcowej (w.) 112
Dzieci w szkółce (wiersz) . . . 113
Rozmowa ze stryjkiem (powiastka) 114
Jurcio (wiersz) 118
Sprzedanie Józefa (wiersz) . . 121
Wywyższenie Józefa (wiersz) . . 122
Bezdomny pies (powiastka) . . 122

XI.

LISTOPAD (wiersz) 127
Na grobie mamy (wiersz) . . . 127
Wróbelki (wiersz) 129
Łakomy Wojtuś (powiastka) . . 130
Jak P. Bóg dał 10 przykazań (w.) 132
Dawid i Goliat (wiersz) . . . 133
W księgarni (wiersz) 133
Lalka na grobie (powiastka) . . 135

XII.

GRUDZIEŃ (wiersz) 138
Do Matki Boskiej Niep. (wiersz) 138
Co chcesz na gwiazdkę? (wiersz) 139
Gwiazdka w ochronce (pow.) . 140
Z dzienniczka chłopca (pow.) . 143
Gwiazdor (wiersz) 147
Jezus się nam narodził (wiersz) 149
Pożegnanie i powitanie roku (w.) 150
Rozwiązanie Zagadek 152

STYCZEŃ

Rok się zaczyna zawsze tym miesiącem,
A jedenaście idzie za nim w ślady,
W tym czasie niebo nie często lśni słońcem,
Choć błyśnie promyk, to zimny i blady.
Ziemia pokryta białym puchem śniegu,
Woda się zmienia w szklaną szybę lodu,
A młodzież dąży, by w łyżwowym biegu
Rozgrzać swe członki skostniałe od chłodu.
Mróz szczypie w uszy i policzki pali,
Tu mkną łyżwiarze, tam jadą sankami,
Znów kula śnieżna, rzucona z oddali,
Obsypie kogoś białymi płatkami.

W ciepłym pokoju, zjadłszy już wieczerzę,
Miło przy stole zasiąść z książką w ręku,
Przed snem nabożnie zmówiwszy pacierze,
Myśleć o jutrze bez troski i lęku.
Lecz biedni, biedni ci, co bez ogniska,
Bez ciepłej strawy, w podartej odzieży,
Mróz ich przejmuje, głód wnętrzności ściska,
Tym biednym pomoc od nas się należy!

1

Rozmowa.

SYNEK.

Ach, ja doprawdy nie wiem sam,
Kogo i co ja kochać mam?

MATKA.

Kogo, mój synku? mamę i tatkę,
Rodzeństwo twoje, rodzinną chatkę
I ten po nad nią skraweczek nieba,
Wszystko i wszystkich kochać ci trzeba!

SYNEK.

Powiedz mi jeszcze, matusiu droga,
Za kogo modlić mam się do Boga?

MATKA.

Każdą modlitwę Pan Bóg odpłaci.
Módl się za bliźnich, wszystkich współbraci,
Ale paciorków twych ślij najwięcej,
Módl się serdecznie i najgoręcej
Ty, co masz mamę, synku mój słodki,
Za te bez matki biedne sierotki!
Módl się za biednych, strapionych ludzi,
Których dzień każdy do smutku budzi.

Wstaw się do świętej Boskiej opieki
Za tych, co w drodze nieraz dalekiej
Na niebezpieczeństw skazani tyle,
W trwodze i nędzy pędzą dni, chwile!

SYNEK.

Jakże mi żal ich! Ach, więc są tacy,
Moja matusiu, w świecie biedacy?
Już na me usta wcale a wcale
Nie spłyną teraz skargi i żale,
I zawsze za nich wieczór i z rana
Będę się modlił, mamo kochana!

Po kolędzie.

„Ksiądz dziś chodzi po kolędzie
Już za chwilę u nas będzie.“
Do pokoju z tą nowiną
Wpada Staś z radosną miną.
Mania ściąga wnet fartuszek,
Czyści kurtkę swą Franuszek,
Szczęściem dzieci też wesoła,
Patrzy mama dookoła.

„Jezus Chrystus pochwalony“,
Mówi proboszcz pochylony,
Zaraz pyta już od proga:
„Umiesz pacierz, dziatwo droga?“
Pewne swego grzeczne dzieci,
Aż im radość z oczu świeci,
Z ustek płyną im pacierze:
„Zdrowaś, Ojcze nasz i Wierzę.“
A zastępca Chrystusowy
Drżącą dłoń kładł im na głowy
I tak słodko się uśmiecha:
„Będzie, dziatki, z was pociecha,
Pocałujże ten krzyż Pana,
Moja dziatwo ukochana,
A na pamięć tej tu chwili
Obrazeczki macież, mili.“
„Jezus Chrystus pochwalony!“
Już ksiądz wyszedł pochylony,
A w serduszkach dobrych dzieci
Wraz z miłością żal się nieci.
„O Jezusie w biednym żłobie,
Wieleż my winniśmy Tobie!
Za Twój krzyż i za Twe ciernie
Będziemy Cię kochać wiernie!“

Jaś i Janek.

Na pierwszem piętrze, w ładnym dziecinnym pokoiku siedział Jaś. Przewracał niecierpliwie kartki książki, mrucząc gniewnie pod nosem:

— Ciągle czytać i czytać mi każą; prawie na pamięć znam już wszystkie te powiastki, małoż to zresztą w szkole naślęczę się nad książką? Przecież to dzisiaj niedziela, wolę inaczej się zabawić.

Zaczął z pośpiechem rozdzierać kartki zniszczonej już książeczki i rzucać je na dół.

— A to dopiero szczęśliwy pomysł, wyborny figiel. Pogoda, słońce, a tu naraz nad podwórzem takie wielkie płaty śniegu padać zaczną. Zbiegną się ludzie, pełno małych dzieciaków, a tu taki papierowy śnieg. Ha, ha, ha! — śmiał się zadowolony Jaś i darł dalej książeczkę.

Na podwórzu, wsparty o ścianę, stał drobny chłopczyk, Janek. Trzymał przed sobą duży arkusz papieru, afisz teatralny, zadrukowany samemi nazwiskami — i palcem wodził po literach.

Męczył się długo, nim w ten sposób czytać sam się nauczył. Cóż, kiedy to same nazwiska i nic więcej.

Dawno już prosił matkę o jaką książkę, ale w domu bieda, ojciec umarł, dzieci tyle, że nieraz nie starczy na chleb i ziemniaki, a skądże tam wziąć na książkę.

W niedzielę i święta to matka pozwala mu brać do kościoła swoją książkę do nabożeństwa. Dopieroż to wtedy się namodli, a tak

gładko już czyta, że aż go radość bierze i chciałby głośno ludziom przeczytać, żeby słyszeli, jak to sam się nauczył. Ale to przecież grzeszne są takie myśli i to jeszcze w domu Bożym. Więc cicho klęczy w kąciku i prosi Bozi o wiele, wiele rzeczy — i żeby miał też kiedy swoją własną książeczkę.

Mały Janek, wsparty o róg oficyny, przestał czytać i rozmyśla.

Nagle z zamyślenia wyrwał go jakiś cichy szelest. Podniósł oczy w górę, skąd szmer go dochodził, i zobaczył wirujące w powietrzu i spadające na ziemię kartki papieru. Rzucił się ku nim, nadstawił ręce, chwytał, podnosił i tulił do siebie.

Jasiowi z pierwszego piętra figiel nie udał się. Janek z dołu poznał, że kartki papieru to nie śnieg, lecz cieszył się, że chociaż podartą, ale swoją własną będzie miał teraz książeczkę do czytania.

Któryż z dwóch Jasiów na większą zasługuje pochwałę?

Kolęda sieroty.

Chociaż wzeszła na niebiosa
Jasna gwiazdka złota,
To Marysia zawsze bosa,
Bo ona — sierota.
Mróz był wielki, zachorzała
Bez ciepłej odzieży

I nad dolą swą płakała
Pośród słów pacierzy:
„Jezusinku, już brak siły,
Już ja się nie ruszę,
Wyniosą mnie, gdzie mogiły,
Tobie oddam duszę.
Ale mi też jeszcze przecie,
Proszę Cię w pokorze,
Wypraw gwiazdkę na tym świecie,
Daj mi co, o Boże!“
Śpi Marysia w tej nadziei,
Że Bóg ją wysłucha,
Chata aż drży od zawiei,
Szumi zawierucha.
Leży Maryś u sąsiada,
Co przyjął sierotę,
Taka biedna, chora, blada,
A śni gwiazdki złote.
Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń, po kolędzie
Ksiądz jedzie do ludzi,
Pewnie, pewnie i tu będzie,
Marysia się budzi.
Ksiądz przyjechał i dziateczek
Przywołuje grono,

Dla Marysi obrazeczek
Będzie też tam pono.
Przyszedł ksiądz i dobre dłonie
Złożył na jej głowę,
Rozpalone chłodzi skronie,
Gładzi włosy płowe.
Dał obrazek i krzyżykiem
Żegna chore dziecię,
Ono z szczęścia padło krzykiem:
„Ach, mam gwiazdkę przecie!“
Do obrazka sine usta
Sierota przykłada —
I umiera, jakby chusta
Taka biała, blada.

Co ja mam?

Nie mam ja zagonów, ni nawet ogródka,
Lecz w mem posiadaniu jest też ziemi grudka,
oj jest!
Stoją na okienku trzy moje doniczki,
Kwitną w nich gwoździki i w pączkach różyczki.
Podlewam je sama i patrzę jak rosną;
Choć na dworze zima, ja cieszę się wiosną.

Z. WRONIECKI
KOLĘDA SIEROTY

Na mojem okienku zawsze jest zielono,
Sowicie za trudy jestem nagrodzoną.
To moje królestwo, to moje kochanie —
I największych skarbów nie chcę w zamian za nie,
oj nie!

Kotek.

A, łakomczuch z tego kota,
Nic dobrego, pfe, niecnota!
Miałam wypić na śniadanko
Smaczną kawę ze śmietanką,
A tymczasem będę głodna,
Bo z garnuszka prawie do dna
On mi wypił me śniadanie.
O, poczekaj, mój ty panie,
Teraz pyszczek myjesz sobie,
Ale wiem już, co ci zrobię.
Rózga będzie dziś w robocie,
Łakomczuchu, brzydki kocie!
„Mnie się zdaje, ta przywara,“
Rzekła na to babcia stara,
„I wśród dzieci też jest znana! —
Na komodzie, wczoraj z rana

Położyłam trzy karmelki,
Lecz ślad po nich zniknął wszelki.
Może na dwóch nóżkach kotka
Przywabiła ta łakotka?“
Helcia w głos się rozpłakała
I już rózgi nie szukała.

Wróbelki.

Snieg gęstym, białym puchem pokrył ulice miasta, a mroźny, ostry wicher dmąc z całej siły, szczypał ludziom policzki i ręce i siekł jakby rózgami po uszach i nosach. To też każdy biegł, aby jak najprędzej schronić się do domu.

Ale biedne wróbelki domu nie mają. Na wsi najchętniej, gdy zima nastanie, obierają sobie za mieszkanie stogi, stojące w polu. W słomie ciepło im, a i ziarenko znajdzie się, gdy się podkradną do stodół, gdzie ludzie zboże młócą.

O wiele biedniejsze są wróbelki, co w mieście obrały sobie siedlisko. Gnieżdżą się, gdzie mogą, pod dachami kamienic, albo w różnych szparach i dziurach. A jakże im tam zimno być musi, gdy ostry wiatr dmucha. Nie mają pierzynek ani żadnego przykrycia; biedne ich gniazdeczko pracowicie z drobnych gałązek uwite, sianem

przeplatane i mchem wysłane. Czasem przyniosą w dzióbku znalezione gdzie źdźbło waty, albo piórko, i to ich cały dobytek.

A ich pożywienie?

Widziałyście, dzieci, pewnie nieraz, jak chmara wróbli ciśnie się pod kopyta koni i w mierzwie tychże wyszukuje ziarenka?

Biedne wróbelki, głodne, więc nie mogą być wybredne.

Ale dziś śnieg przypruszył wszystko i na ulicy cicho, nie słychać turkotu wozów. Wróbelki podskakują, a gdy im przez to nie cieplej, przysiadają na nóżkach, aby je rozgrzać i ćwierkają:

— Ćwir, ćwir, źle, źle, głód, mróz, co to będzie?

A w tem jakaś miłosierna ręka zlitowała się nad dolą wróbelków i odmiótłszy śnieg z za okna, okruszyny bułki sypać zaczęła.

Trzask, już okno zamknięte.

Frrr! Całe stado wróbli biegnie pożywić się. Mama, wróbliczka, już jeść zaczęła, gdy zmiarkowała, że brak jednego jej dziecka.

— Gdzie wasz braciszek? — zapytała kilku wróbelków.

— Mamo, on chory i rano już z gniazdka wyfrunąć nie chciał.

Bardzo się skłopotała wróbliczka.

— Muszę go tu koniecznie sprowadzić, niech się pożywi, bo z głodu więcejby jeszcze zachorował

I pofrunęła dobra mateczka do chorego dziecka.

— Pik, pik, ćwir, ćwir, ćwir — skarżył się chory swej mamie.

Nie chciało mu się ruszyć, ale namówiony przez mamę, wyfrunął z gniazdka.

Już, już był blisko okna, gdzie pożywiali się towarzysze; wtem zawiał, zadął silny wiatr, wróbelek osłabł, zatrzepotał kilka razy skrzydełkami w powietrzu i — spadł na ziemię.

— Moje dziecko, moje biedne dziecko! — zaćwierkała żałośnie wróbliczka i przypadła do wróbelka.

Ptaszek zadrżał jeszcze parę razy, otworzył dzióbek, wyciągnął nóżki — i już nie żył.

Biedna matka głośno narzekać zaczęła.

Zbiegły się zewsząd wróbelki, ojciec, braciszkowie, siostrzyczki, wujkowie i ciocie i wszyscy zawodzili żałośnie:

— Pewnie padł z głodu, bo nic nie jadł — dowodził ojciec.

— Nie, to mróz, okrutnik, zabił go — jęczała matka.

Jakiś głodny pies węsząc pożywienie, nadbiegł z ulicy, byłby może chciał wróbelka schrupać, ale cała skrzydlata rzesza rodzinna otoczyła go wkoło, broniąc psu przystępu.

— Kra, kra, kra, to mój łup! — zaskrzeczała wrona, łopocząc skrzydłami, a biedne, wystraszone wróbelki znowu towarzysza otoczyły dokoła.

Ale ciemności i coraz tęższy mróz zmusiły je do powrotu do gniazdek. Ostatnia odbiegła matka.

A tymczasem nieżywego wróbelka utuliła i przykryła biała, puszysta, śnieżna pierzynka.

LUTY

Choć wiatr zimny dmucha,
Choć to miesiąc luty,
Ja mam minę zucha,
Bo mam ciepłe buty.
Woda na lód skrzepła,
Wiszą sople z lodu,
Moja kurtka ciepła
Chroni mnie od chłodu.
Czapka barankowa
Dobrze głowę grzeje,
Wichuro lutowa,
Ja się z ciebie śmieję!
W ciepłe rękawice
Ręce przyozdobię,
Choć pójdę w śnieżycę,
Nic sobie nie zrobię!
Zlepię jutro z rana
Z śniegu bielutkiego
Wielkiego bałwana,
Chłopaka zgrabnego.

Szczęśliwem ja dziecię,
Mam ojca i matkę,
Dobrze mi na świecie,
Mamy swoją chatkę.
Umiem dużo śpiewek,
Śpiewam z szczerej duszy,
Dorzucę w piec drewek,
Bo mróz i śnieg prószy.
Panie Boże z góry,
Spójrz pod naszą strzechę,
Rozpędź czarne chmury,
Zsyłaj nam pociechę!

Na Matkę Boską Gromniczną.

Matka Boska ofiaruje
Dzieciątko w świątyni,
I gołąbki składa w dani
I przysięgę czyni:
Że na Boską chwałę dziecię
Poświęci, wychowa.
Dotrzymała, co przysięgła
Matka Chrystusowa.

Idźcie dzieci do kościoła,
Złóżcie na ołtarze
Wraz z gromnicą Przenajświętszej
Wasze serca w darze.

Zabawa w śnieżka.

Wybiegnijmy na podwórze;
Chodźcie dzieci małe, duże,
Napadała śniegu moc,
Stanie duży, biały kloc!

Po nauce znów zabawą
Zajmijmy się żwawo, żwawo,
Bierzcie śnieg i sypcie tu,
Dalej, szybko i co tchu!

No, nie próżnuj Stasiu drogi,
Stefku, zgrabne zrób mu nogi!
Ty próżnujesz? Chodźno Grześ,
Do roboty też się weź!

Snieżku, ładnie ci w sukience
Takiej białej, jeszcze w ręce
Dam ci duży, mocny kij,
Kto się zbliży, tego bij!

Ba, nie widzisz? Dwa węgielki
Dajcie no tu, ten pan wielki
Chce nas widzieć; ha, ha, ha;
No, a teraz, pan nas zna?

Tu kamyczek, zamiast nosa
I tu, do ust papierosa,
Powiedz, co ci jeszcze brak?
Czy nie dobrze ci tu tak?

Martwisz się blizkością końca?
Wkrótce błyśnie promyk słońca
I rozpłynie ci się nos;
Trudno śnieżku, to twój los!

Dzwonią już, — uszanowanie
Ci tymczasem, biały panie,
Już zabawę rzucić czas,
Do książek wołają nas!

Na ślizgawkę.

Dwóch chłopczyków spotkało się z sobą. Wacio spojrzał na łyżwy kolegi i spytał:

— Czy idziesz na ślizgawkę?

Naturalnie, — odparł Janek, — lód wyborny, zabawię się doskonale, chodź ze mną!

— Nie mam łyżw, — odparł smutnie Wacio, — ale odprowadzę cię kawałek.

Szli, nic nie mówiąc, tylko Janek z rozmachem chuśtał zawieszone na rzemieniu łyżwy.

— Pożyczyłbym ci jednej łyżwy, — odezwał się wreszcie Janek.

— Jakiś ty dobry Janku, bardzo ci dziękuję, ale ja i tak nie pójdę, muszę wprzód wrócić do domu i odrobić zadane lekcye.

— No, to idź! — zawołał Jaś zadowolony, że kolega nie przyjął jego ofiary, i pędem, wywijając łyżwami, biedz począł.

W tem łyżwy całą siłą rozmachu uderzyły w nogę przechodzącego staruszka. Syknął boleśnie, zachwiał się i upadł. Jaś widząc to, szybciej jeszcze umykać zaczął.

Starca otoczyło naraz kilku gapiących się chłopców; nadbiegł także i Wacek, chcąc staruszkowi pomódz powstać. Jednak ciężar był za wielki dla słabych sił jego, a otaczający chłopcy pomódz mu nie chcieli.

I posypały się jeszcze słowa złe, bez serca.

— Stary zając upadł, pif, puf, paf, — wołał chłopiec jakiś, celując niby z flinty.

— A jak stęka! — dodał drugi, — aż zęby pokazał, ha, ha, ha.

Wreszcie któryś z chłopców sprowadził dorożkę i pomógł Waciowi staruszka w niej umieścić.

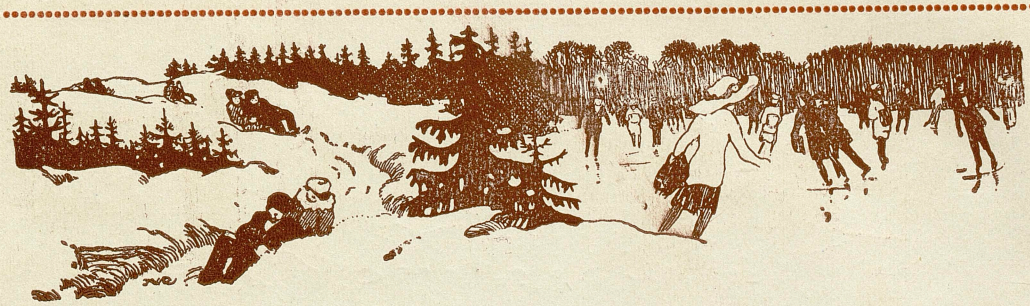

Słabym i zbolałym głosem odezwał on się wtedy do chłopców:

— Pamiętajcie, kto starości uszanować nie umie, temu Pan Bóg błogosławić nie będzie!

Dorożka odjechała, a chłopcom jakoś przykro i niespokojnie serca zabiły:

— Zły czyn, zły czyn! — sumienie szeptało.

Tymczasem Wacek odwiózł staruszka do jego mieszkania.

Okropnie tym wypadkiem przeraziła się żona jego i córki, ale on uspokajał je, mówiąc:

— Gdyby nie ten chłopiec, gorzej mogłoby być. Poczciwy chłopcze, Bóg ci to wynagrodzi! Potem spytał jeszcze Wacia o jego nazwisko i adres i ucałowawszy, pożegnał go.

Upłynęło parę tygodni i Wacuś zapomniał o tym wypadku.

Raz wróciwszy ze szkoły, zastał w domu znajomego staruszka.

Kulał on jeszcze trochę i laską podpierać się musiał, ale już chodził po trochu.

Wacek bardzo się z jego odwiedzin ucieszył.

Odtąd zawiązała się między nimi blizka i serdeczna znajomość.

Wacek codziennie odwiedzał sędziwego znajomego, a on opowiadał mu wiele ciekawych rzeczy o dawnych czasach i ludziach, uczył go i wiele ciekawych książek pożyczał.

Rozwijał się umysł i serce Wacia, Pan Bóg mu błogosławił i chłopiec wyrósł na zacnego i dobrego człowieka.

Wróbelki.

Otworzyła się połówka
Małego okienka,
I wyjrzała na świat główka,
Kto tam? kto? panienka.

Dla wróbelków drobną ręką
Szykuje śniadanie:
„Chodźcież, chodźcie na ziarenko,
Podziękujcie za nie!“

Siedzą wróble dwa na płocie,
Młody właśnie kwili:
„Trudno jadło znaleźć w błocie,
I któż nas posili?“

A w tem dojrzał choć z daleka
Dłoń, co jadło kruszy —
„Frrr“, z radością wnet ucieka
I cieszy się w duszy.

„Samolubie“, — stary woła, —
„Gdzież ci się tak spieszy,
Że nie wezwiesz tam do koła
Głodnych braci rzeszy?“

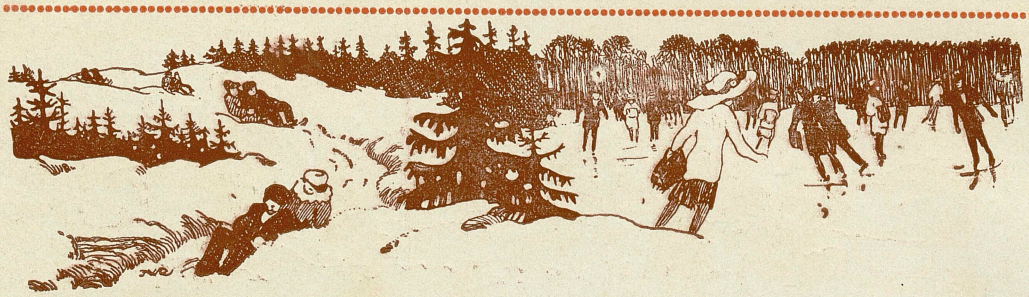

„Ćwir, ćwir, ćwir, ćwir“, wróbel stary
Woła na swe dzieci,
I zgłodniałe wnet bez miary
Całe stadko leci.

I sfrunęły na okienko,
Zjadły wśród ćwierkania:
„Bóg że zapłać ci, panienko,
Za smaczne śniadania!“

Ja doprawdy się nie chwalę.

Ja doprawdy się nie chwalę,
Lecz ślicznie ustroję lalę;
Mam różne gałganki stare,
Więc jej najprzód wezmę miarę.
No, stój lalko bez grymasu,
Wiesz, że przecież nie mam czasu.
Teraz dobrze, idź spać sobie
Nim ci suknię przysposobię.
Tak, więc z tej tutaj woalki
Ślubny welon jest dla lalki;
Ta materya trochę brudna,
Ale prać, to rzecz tak zmudna,

Na drugą stronę przełożę —
I dość czysta będzie może.
Trzeba zeszyć, gdzież fastrygi?
Ach, cóż z szyciem tem fatygi!
Boli, — cóż to, igła kole?
O, już szycie rzucić wolę;
Krewka ciecze mi na palce
I ubranka wala lalce.
Praca szybko rozpoczęta,
Leży w kącik gdzieś wetknięta,
Gdzież cierpliwość, gdzie wytrwanie,
Które winny zdobić Manię?

Czyjże to domek?

Czyjże to domek, czyjaż to chata,
Co się czystością tak świeci?
Cóż to za dziecko, co ją zamiata,
Może wy wiecie to, dzieci?

Ach, to nasz Jezus, Jezus kochany
Wśród świętej Swojej Rodziny;
Nad główką krążek lśni Mu świetlany,
Gdy pracą męczy rączyny.

Zawsze wesoły, na ustach śpiewka,
Kiedy pomaga w robocie —
I wodę znosi i rąbie drewka,
Jaśniejąc w świętej Swej cnocie.

I wraz z Józefem on przy warsztacie
Staje o wczesnej godzinie,
Maleńki Jezus! dzieci, wzór macie
W tej pracowitej dziecinie!

Wspomnijcie sobie, jak to wy czasem
Nad pracą noskiem kręcicie,
Jak to się buzia krzywi grymasem,
Kiedy was zbudzą o świcie.

Wspomnijcie, dzieci, na wzór wasz święty,
Jezusa, Syna Bożego,
Bo w Nim znajdziecie wiele zachęty,
By dążyć wciąż do dobrego!

Lekarstwo na nudy.

— Nudzę się, nudzę się, — grymasiła Stasia. Przy maszynie, koło okna siedziała szwaczka, zajęta przerabianiem sukienki dla Stasi.

— Czy panna Marynia także się nudzi?

— Nie, ja na to nie mam czasu. Ale źle, że Stasia nudzi się, czy lekcye już odrobione?

— O, umiem już wszystko jak pacierz.

— Możebyś chciała uszyć sukienkę dla lalki, ja ci pomogę, przykroję, nauczę.

— Ej nie, dziękuję, co za przyjemność męczyć się samej, niech lepiej lalka będzie nieubrana.

— Biedna laleczka, niedobrą ma mamusię. Ale możeby Stasia chciała być dobrą córeczką dla swojej mamusi?

— A czyż to ja nie jestem dobrą córeczką?

— No, to daj dowód tego, Stasiu, — odpowiedziała panna Marynia.

— Spojrzyj, wiele tu na podłodze porozrzucanych śpilek, jak pełno nitek i różnych gałganków. Mamusia twoja zajęta w kuchni, gdy przyjdzie tu, do pokoju, radaby odpocząć trochę, a tymczasem znajdzie nieporządek i znowu, chociaż zmęczona, sprzątać będzie musiała. Jakże by to było ładnie, gdybyś ją w tem wyręczyła; byłoby to także najlepszem lekarstwem na nudy!

— Nie chce mi się, — ziewnęła Stasia, ale mimowoli prawie schyliła się i śpilki z podłogi zbierać zaczęła.

Potem przyniosła szczotkę i wzięła się do zamiatania, dziwiąc się że to wcale nie tak trudno jak myślała. Skończywszy tę pracę, usiadła na stołeczku przy pannie Maryni.

— Proszę, niech mi panna Marynia co opowie!

— Dobrze, ale za to i ty mi też pomóż!

I panna Marynia dała Stasi kawałek starej materyi, z której trzeba było niteczki wypruwać. Stasia grzecznie wyciągała nitki — i ażeby znów nie naśmiecić, na bok je odkładała.

— Powiastek nie umiem, ale ci opowiem o mojej siostrze, twojej rówieśniczce, na imię jej Frania. Wstaje bardzo wcześnie, przed wyjściem do szkoły musi jeszcze poroznosić bułki i mleko, bo matka nasza ma mały sklepik. W południe i wieczorem także mleko roznosi. Prócz tego ma jeszczcze inne zajęcia, ściele łóżka i zamiata izbę, bo matka zajęta w sklepie, a ja do szycia spieszyć muszę. Potem odrabia lekcye szkolne, a wieczorem uczę ją jeszcze po polsku.

— Czy ona nigdy się nie bawi?

— Możeby i na zabawę znalazła chwilkę czasu, ale nie ma zabawek, — odparła panna Marynia.

— Dziękuję za opowiadanie, — zawołała Stasia, oddając już skończoną robotę i pobiegła do kącika, gdzie składała swoje zabawki.

Uuu, co tam był za porządek!

Wszystko porozrzucane i pomięszane jak groch z kapustą.

Nucąc wesoło, coś tam przewracała, czegoś szukała.

Wieczorem, gdy panna Marynia już się do odejścia zabierała, Stasia swej mamie na uszko coś szepnęła.

Mama pocałowała ją i uśmiechnięta, głową przyzwalająco skinęła.

Wtedy z pod fartuszka wyciągnęła Stasia zaniedbaną i nieubraną swoją laleczkę i podała ją pannie Maryni:

— To dla Frani, może ona będzie dla niej lepszą mamusią i uszyje jej sukienki, ona taka pracowita, a ja leniuszek.

— O tak źle znów nie jest, — zawołała panna Marynia, — jak to ładnie Stasia dziś posprzątała. Dziękuję Stasi, serdecznie dziękuję, a to się Frania ucieszy. I żeby lalka nie zmarzła, ukryła ją pod peleryną.

Choć Stasia o lalkę nie dbała, jednak przy rozstaniu serduszko ją trochę zabolało. Wybiegła więc jeszcze na schody za odchodzącą szwaczką i zawołała:

— Panno Maryniu, moja złota, może kiedy w święto Frania z swoją córeczką odwiedzi mnie, dobrze?

— Dobrze Stasiu, powiem jej to. Dobra noc.

O, dobrze, doskonale spało się Stasi tej nocy, widocznie to „lekarstwo na nudy“ tak jej posłużyło.

MARZEC

Już ustaje zawierucha,
już cieplejszy wietrzyk dmucha,
już weselej w krąg,
Już z pod śniegu widać ziemię,
Co w uścisku zimy drzemie,
Już jaśniej wśród łąk!

Niechno błyśnie promyk słonka,
Wnet się ozwie pieśń skowronka
I popłynie w dal.
O, świeć słonko, śpiewaj ptaszę,
Wzleć nad pola, łany nasze,
Pana Boga chwal!

Zimo, idź precz sobie!

Zimo, idź precz sobie, za lasy, za góry!
Skryło się słoneczko, znów na niebie chmury.
Takaś zimna, szara, taka bezlitosna,
Czekaj brzydka zimo, przyjdzie wkrótce wiosna,

Wtedy się zakończy twoje panowanie
I znów w gajach zabrzmi ptaszęce śpiewanie.
Pójdziesz sobie, pójdziesz za góry, za lasy,
I znów się dla dzieci zaczną lepsze czasy.
Pobiegnę wśród łąki, nazrywam kwiateczków,
I uplotę wiele dla Bozi wianeczków.
Potem je zaniosę tam, na Bożą mękę,
I Jezusinkowi zanucę piosenkę.
A potem swobodna, wesoła jak ptaszę,
Biegnąc znów powrócę na podwórko nasze,
I wśród rówieśniczek, dziewcząteк gromadki,
Pobiegam, poskaczę dookoła chatki.
I w naszym ogródku zagonki opelę,
I posadzę w środku znów pachnące zielę.
A tymczasem zima, — patrzę przez okienko
I proszę: Przyjdź prędko, przyjdź do nas wiosenko!

Janek brzęczymucha.

Posłuchajcież moi mali,
Jak ten Janek wciąż się chwali,
Jak uparta jaka mucha,
Tak wciąż brzęczy koło ucha:

„Silny jestem, jak nikt w świecie,
Już powozić umiem, wiecie?
Nie wierzycie? — ależ tak!
Konno mknę też, jakby ptak.

Gdzieś na wojnie, hen, daleko
Strugi krwi potokiem cieką,
Moją Mamę myśl ta mdli,
Ale dla mnie — cóż to? pi!

Ja tak strzelam doskonale!
Czy Japończyk, czy Moskale,
Gdy wymierzę pif, — puf, — paf!
Każdy wystrzał — celny traf!“

I tak myśląc o tej walce,
Przyciął sobie szafą palce,
I wnet buzia krzywi się,
A łza gorzka goni łzę.

I zawołał pełen bólu:
„Ach, chodź, ratuj mnie matulu!“
„Nie kładź palca między drzwi!“
W tem nauka dla cię tkwi.

I niech Janek brzęczymucha
Mniej się chwali, więcej słucha,
Wtedy może z biegiem lat
Swym rozumem olśni świat!

Co nie twoje, tego nie rusz!

— Michasiu, masz tu trojaka, idź, kup funt soli za pięć fenygów!“

Schwycił Michaś pieniądze, nacisnął czapeczkę na głowę i wybiegł w podskokach na ulicę. W składzie dużo było ludzi i chwilę czekać musiał. Widział, jak jakaś panienka kupowała karmelki, śliczne, różowe malinki. Mimowoli ślinka do ust mu nabiegła i zapytany przez kupca, czego chce, zażądał prócz soli karmelków za pięć fenygów.

Dopiero gdy wyszedł ze składu, ze smacznym karmelkiem w ustach, zastanowił się nad tem, co zrobił.

Nie miał prawa rozporządzać pieniędzmi biednej matki, która ciężko na nie pracować musiała.

Rumieniec wstydu i żalu wybiegł mu na policzki.

— To pierwszy i ostatni raz — próbował sam przed sobą się uniewinnić — nie zrobię tego więcej.

Szybko pogryzł karmelek, resztę schował do kieszeni i ze smutną twarzą wrócił do domu.

— Michasiu, a gdzie reszta, gdzie pięć fenygów? — spytała matka, sól odbierając.

— Mamo, zgubiłem — odpowiedział chłopiec i spuścił oczy, zawstydzony swem kłamstwem.

— O, ty niedobre dziecko, ani się tobą wyręczyć nie mogę — zawołała rozżalona matka, ale widząc zmieszanie chłopca, łagodniej zaraz dodała:

— Bądźże na przyszłość uważniejszy!

Dobrej matce ani na myśl nie przyszło, żeby syn jej miał ją oszukiwać i kłamać.

* * *

Minęło sporo czasu. Michaś dotrzymał danego sobie słowa i uczciwie załatwiał powierzone sobie zakupy.

Aż raz znowu widok karmelków skusił go i teraz już nawet sumienie nie robiło mu takich wyrzutów. Zamiast kupić cukru za dziesięć fenygów, kupił tylko za pięć, a za resztę karmelków.

— Michasiu, a cóż to dziś cukru tak mało?

— Nie wiem, mamo, mnie się zdaje, że jest tak jak zawsze.

— Ale mnie się nie zdaje — zawołała matka, chyba się kupiec pomylił.

Schwyciła chustkę i pobiegła sprawdzić pomyłkę.

Na jej pytanie kupiec odpowiedział:

— Chłopca pani znam, w tej chwili ztąd wyszedł. Dałem mu cukru tylko za pięć fenygów, bo tak zażądał; prócz tego kupił za pięć fenygów karmelków.

— Karmelków! — jęknęła biedna matka i ze zbielałą twarzą poszła ku domowi.

Michaś spodziewał się, że matka prawdy się dowie, bał się jej gniewu i nie wiedział, co z sobą począć. Właśnie chciał uciekać z domu, gdy na progu stanęła matka. Nie gniew jednak był w jej oczach, ale ogromny żal i boleść.

— Złodziej, mój syn złodziej, własną matkę okrada, oszukuje i kłamie. Ładny początek, a potem, — może pójdziesz ludzi wśród drogi rabować, cudze mieszkania napadać, a potem, wiesz, co cię czeka? Więzienie! O, wolałabym umarłym cię widzieć! — zawołała, a łzy popłynęły jej z oczu.

Słowa te wstrząsnęły Michasia do głębi. Matka tak bardzo go kocha, a jednak wolałaby go widzieć umarłym niż występnym. Śmierć, to okropne; wie, że ona go czeka, ale taki jeszcze młody, miałżeby już umrzeć?

Chodzi już na naukę religii i wie, że po śmierci dusza staje przed sądem Boskim. Pan Bóg złe karze, a strasznym ciężarem łzy matki padają na sumienie dziecka.

Wstrząsany płaczem, rzucił się do nóg matki:

— Mamo, przebacz, nie płacz, wierz mi, przysięgam, że już nigdy, nigdy ani mamy, ani nikogo innego oszukiwać nie będę!

Matka podniosła w górę głowę Michasia i tyle szczerej prawdy i silnej woli wyczytała w jego oczach, że z ulgą złożyła rękę na jego ramieniu i rzekła:

— Przebaczam, niech Pan Bóg raczy ci dopomódz dotrzymać wiernie danego mi teraz słowa.

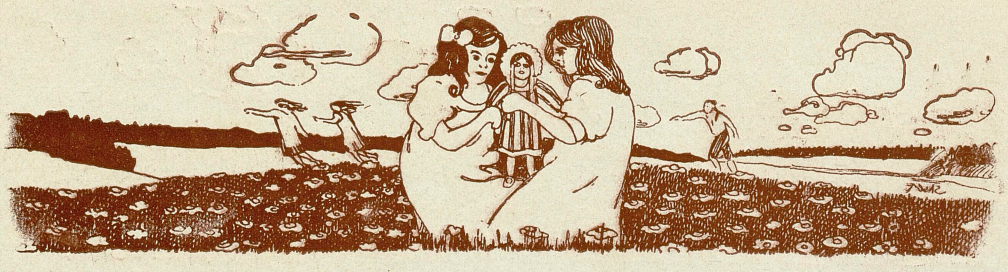

Siwe włosy.

Raz swej mamie Lunia mała
Na kolanka się wdrapała;
Nagle wśród czułej pieszczoty
Odgarnęła włosów sploty.
„Czemu srebrne nitki, mamo,
W czarnych włosach skrzą się plamą?
Ach, tych czarnych włosków szkoda,
Przecież mama jeszcze młoda!
Powiedz, mamo, gdzie przyczyna?“
Mała pyta się dziecina.
„Tej siwiźnie — rzekła mama —
Tyś najwięcej winna sama;
Rosną matce włosy siwe,
Kiedy dziecię jest krzykliwe,
Gdy uparte w swojej woli,
Mamę z żalu główka boli.“
„Będzie zawsze grzeczną Lunia,
Niech nie siwieje mamunia!“

Słuchajcie dzieci!

Słuchajcie dzieci i niech przez uszka
Miłość wam spłynie aż w głąb serduszka

Jezus za grzech nasz był biczowany;
Jakże być winien za to kochany.
Jezus do krzyża został przybity,
Aż z bólu pot Go zraszał obfity,
Pot z krwią zmięszany, z gorzkiemi łzami,
Bo Go złoczyńcy żgali włóczniami.
O, drogie dziecię, gdy cię to wzruszy,
Gdy ci się oko łzami zaprószy,
O przyrzecz sobie w myśli dziecięcej,
Jezu, nie będę grzeszyć już więcej!
Nie chcę mym grzechem krwawić Twej rany,
Wspomóż mnie tylko, Jezu kochany!

Ranne odgłosy.

Kukuryku, zapiał kur,
Wnet mu wtórzy cały chór:
„My ze snu budzimy was,
Hej, leniuszki, wstawać czas!“
Patrzy dziecię, oczki trze,
Jakoś wstawać nie chce się;
Czyż zwierzątka miałyby
Być pilniejsze niźli ty?

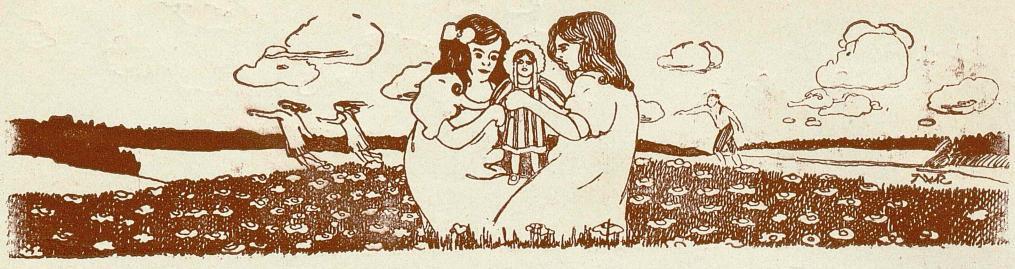

Krówka ryczy, mu, mu, mu,
Chodźcie doić mnie co tchu,
Dajcie sianka mi na żer,
Z mleka róbcie masło, ser!

Przez obórkę przemknął szczur,
Kotek za nim hyc, do nór
I zamiałczał miał, miał, miał,
Jakżebym cię schwycić chciał!

A w stajence konik rży,
Pod kopytem ziemia drży,
Już schrupałem sianka snop,
Chcę iść w pole, hop, hop, hop!

Piesek szczeka wał, wał, wał,
Jam bez snu noc całą trwał,
Teraz mi się jeść już chce,
Słusznie więc posilę się!

Znów rozgłośnie zapiał kur,
Wnet mu cały wtórzy chór:
„Hej leniuszki wstawać czas,
Dawno już budzimy was!“

Być leniuszkiem, wielki wstyd,
Dziecię wstań, spójrz, cudny świt,
Bóg nad tobą, Anioł Stróż,
Módl się dziecię, rączki złóż.

Potem żwawo, raz, dwa, trzy,
Zmyj z twych ocząt nocne sny,
Dąż do szkoły, książki schwyć,
Bo próżniakiem brzydko być!

Ofiara Józi.

— Matusiu! — zapytała Józia — a czemu to teraz nigdy nie ma mięsa na obiad?

Bo teraz, Józiu, jest Wielki Post. Nazywa on się wielki dlatego, że trwa bardzo długo. Pan Jezus na puszczy czterdzieści dni umartwiał się, modlił i pościł, więc i my na tę pamiątkę powinniśmy pościć i odmawiać sobie tego, co lubimy.

A Panu Jezusowi umartwienia nasze miłe są, bo widzi, że nie na próżno potem śmierć męczeńską za nas poniósł.

— Biedny Pan Jezus, włóczniami Go żgali i gwoździami do krzyża przybili, wszak prawda matusiu?

— Tak Józiu, tylko nie krzyw się na kluski i jedz, bo taka niechętna ofiara, to Panu Bogu wcale nie miła!

Minęło kilka dni, a Józia pamiętając słowa matki, nie grymasiła i jadła wszystko.

W niedzielę po obiedzie przyszła z drugiej wsi chrzestna Józi w odwiedziny. Józia z radością ją powitała. Chrzestna ucałowała Józię, a potem wyjęła ze zawiniątka cztery śliczne czerwone jabłuszka i piernik:

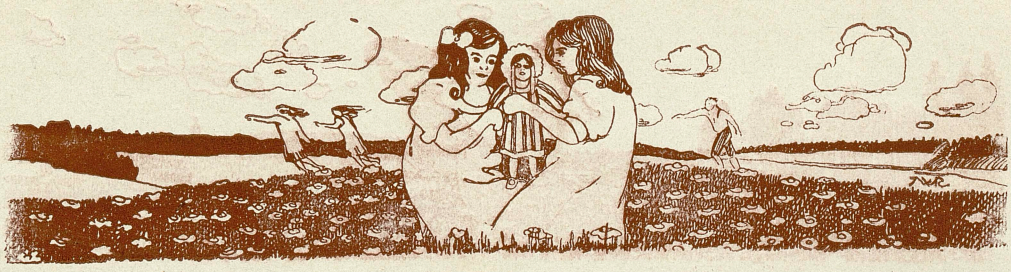

— Masz Józiu, to dla ciebie podarek, bo to dziś przecież twoje imieniny, a rośnij na chwałę twego wielkiego Patrona!

— Józia ucałowała ręce chrzestnej i już chciała skosztować swoich przysmaków, gdy nagle coś sobie przypomniała. Spojrzała na ścianę, gdzie wisiał obraz ukrzyżowanego Zbawiciela naszego i ze łzami pomyślała:

Jakże mam zjadać przysmaki, kiedy matusia mówiła, że teraz jest czas, w którym się Jezus postem umartwiał?

Tymczasem chrzestna zaczęła rozmawiać z rodzicami Józi i nikt na nią nie zwracał uwagi. Cichutko więc wysunęła się z izby i przed chatę wybiegła. Bawiło się tam kilkoro dzieci; sierotki to były, ojciec im umarł, a matce trudno bardzo było wyżywić je i przyodziać.

Nieraz więc biedactwa głodne były, a przysmaków to już nigdy nawet nie skosztowały.

Józia pobiegła do nich i każdemu dała po jednem jabłuszku i po kawałku piernika, a potem szybko odbiegła dalej. Dzieci nienauczone tego, nawet jej nie podziękowały, ale Pan Bóg wie o każdej naszej myśli, o każdym złym i dobrym czynie i żaden postępek bez kary lub nagrody nie zostanie.

Józia też bardzo uczuła się zadowoloną. Zdawało jej się, że słonko jaśniej przyświeca, że wietrzyk ją głaszcze i pieści. A może to oko Boskie z góry tak serdecznie spoglądało na nią, a ten wietrzyk, to może poruszenia skrzydeł Anioła Stróża, co ucieszony stał przy jej boku?

Jak myślicie dzieci, i czy z was które doświadczyło już tego?

KWIECIEŃ

Ach, jak ślicznie znów na dworze,
Tam już kmiotek w polu orze;
A tam drugi złote ziarno
Rzuca hojnie w ziemię czarną.
Ach, aż pachnie nasza święta
Matka-ziemia wypoczęta.
Całą zimę we śnie trwała
I pod śniegiem się wygrzała,
Teraz się do pracy budzi,
Aby karmić głodnych ludzi.

Skąpa Frania.

„Panienko, grosik, nic dziś nie jadłem!“
Prosi sierota z licem pobladłem.
Frania pieniążek w dłoni swej trzyma,
Lecz w gniewnem słowie usta wydyma:
„Idź precz, nic nie mam! I, och, grzech wielki,
Biegnie, kupuje sobie karmelki.
Z skargą do nieba Anioł Stróż leci,
Że kłamstwo z skąpstwem Franusię szpeci.

Po cenzurki.

Idą dzieci po cenzurki,
Co też tam w nich będzie?
Czy jedynki, czy też czwórki
Staną w długim rzędzie?

Czy nagana, czy pochwała,
Przejście w wyższe klasy?
Trwożne, dziatwo moja mała,
Niepewności czasy.

Czy przeczucie wam do uszka
Szepce już coś może?
Głośno biją wam serduszka:
— „O, pomóż nam, Boże!“

Bóg w potrzebie chętnie wspiera,
Lecz wszakże wiesz dziecię,
Ze twa praca ma być szczera,
Bo nic darmo w świecie.

Gdy rok cały ktoś próżniaczy,
Choć dziś wzdycha szczerze:
— „Niech mi Pan Bóg pomódz raczy!“
Już nagród nie bierze!

Dziki królik.

Adaś przepędza zawsze letnie wakacye na wsi. Raz przywiózł stamtąd Reniowi, swemu ciotecznemu braciszkowi, żywego, dzikiego królika. Cóż to była za radość! Takie żywe stworzonko, to przecież wiele milsza zabawka od wszystkich papierowych i ołowianych żołnierzy.

Tatuś, uproszony przez Renia, ze starego pudła przygotował wygodną klatkę. Marynia, służąca, codziennie z targu przynosiła dla królika smaczne kąski — i Renio własną rączką wsuwał do klateczki liście kapusty.

A potem prosił:

— Matulu, wypuśćmy go, niech sobie pobiega!

I otwierał drzwiczki klatki, a królik jednym susem przeskakiwał mu po nad głową i szybki i zwinny kręcił się z kąta w kąt.

Czasem nawet leżącego jeszcze w łóżeczku Renia odwiedzał królik.

— Hops! już siedzi na miękkiej pościółce i głaskany rączką chłopczyka, tuli swoje długie uszy. Inny raz znowu umieszczał Renio królika we wielkim kaloszu dziadzi i woził go jak gdyby sankami. Ale ta zabawa nie bardzo się królikowi podobała, więc też Renio puszczał go, bo serduszko szeptało, że zwierzątku krzywdę tylko złe dzieci wyrządzają.

— Matulu! — mówił nieraz Renio, — królik się pewnie sam nudzi, dajmy mu jakiego towarzysza!

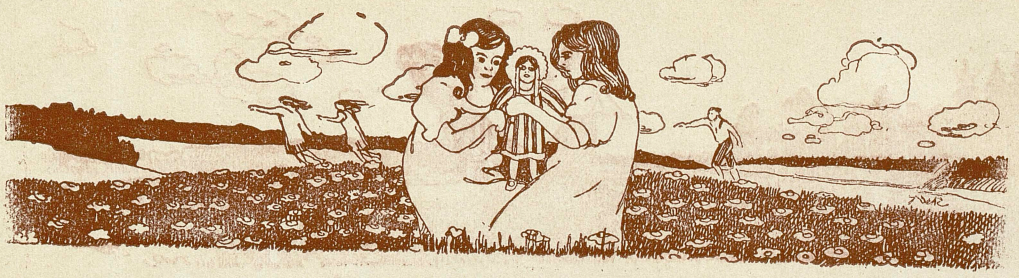

Nie długo potem przyniosła Marynia z targu gołąbka. Włożył go Renio do klatki, pilnując z blizka, aby mu królik krzywdy nie zrobił.

Ale królik nie miał złych zamiarów; obwąchał tylko gołąbka i cofnął się w drugi koniec klatki, jakby mówiąc:

To nie towarzysz dla mnie!

Zbliżało się święto Bożego Narodzenia i do mieszkania rodziców Renia przyniesiono chojenkę. Wypuszczony z klatki królik zobaczył drzewko. Wspiął się z radości na tylne nóżki, odetchnął głęboko zapachem chojny, i zabolało go maleńkie jego serduszko.

Przypomniał sobie świeże powietrze, słonko i wolność swoją i swobodę.

A teraz, cóż ma? Siedzi w dusznym pokoju sam, sam. Jak jego, tak też z lasu zabrano to biedne drzewko i teraz ono niewolę jego dzielić musi.

I od tego czasu dziwnie królik zdziczał i osowiał. Już mu nie smakowała kapusta, stracił apetyt, a sierść jego poprzednio taka miękka i puszysta, szaro-żółta, zrudziała i szorstką się stała. Wypuszczony z klatki, schwytać się potem nie dał i chował się pod kanapy i łóżka.

Cóż to z nim teraz za kłopot był!

Nawet głaszczącą go rączkę Renia kilka razy ugryzł boleśnie.

Renio długo zastanawiał się nad tem, co jest powodem tej dziwnej zmiany.

DZIKI KRÓLIK

Raz wreszcie rzekł:

— Matulu, królik pewnie tęskni, wypuśćmy go na wolność!

— Dobrze synku, ale przecież na ulicę wypuścić go nie możemy, poczekamy więc do wiosny i wtedy wywieziemy go w pole. Tak się też stało. Gdy tylko słonko przygrzewać zaczęło i ciepły wietrzyk osuszył pola z wilgoci, kiedy zapachniała wiosna, mama, pamiętając daną obietnicę, urządziła wycieczkę.

Pojechali więc wszyscy: mamusia, tatuś, Renio i Marynia z koszykiem, w którym królik znosił ostatnie chwile więzienia. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacyi, wśród pola, i kiedy wysiedli wszyscy, Reniowi w oczkach łzy zaświeciły, ale sam otworzył wieczko koszyka i sam zachęcał królika do opuszczenia go.

Królik oczom swoim wierzyć nie chciał. Ach! jaki drogi, miły widok: pola, lasy! W tem — myks — i jednym susem wyskoczył królik z koszyka, a drugi skok oddalił go już znacznie od dawnych jego państwa.

Przysiadł na tylnych nóżkach, obejrzał się, czy go kto nie goni, poskubał młodziutką trawkę, a potem pomknął jak strzała, taki szczęśliwy, szczęśliwy z odzyskanej wolności!

Święcone.

Córeczka mamy, Maniusia mała,
Dziś przy „Święconem“ pomagać chciała.
Więc najprzód w Wielkiej Soboty ranek

Stanął na stole z cukru baranek,
Nad nim czerwona zwiesza się z drzewka
Dzierzgana złotem cud-chorągiewka.
Tu różną barwą jajka się mienią,
Świecą jak słońce, błyszczą zielenią,
Tam stoi baba wspaniałej tuszy,
A obok placek cukrem się kruszy.
— Możnaby ponieść do ust kruszynkę,
Tak coś namawia naszą dziewczynkę,
Lecz szybko myśl tę od siebie goni
I do roboty przykłada dłoni.
Ustawia teraz śliczne pieczenie,
Co to aż drażnią jej powonienie.
Pieczeń cielęca, pieczeń wołowa,
A tam się szynka aż lśni brązowa.
Jeszcze tu masło, wina butelka,
A tam kiełbasa gruba i wielka,
Jeszcze bochenek świeżego chleba
I kilka bułek położyć trzeba.
Obchodzi w koło stół długi, wązki,
Zielone wszędzie wsuwa gałązki.
Ledwie skończyła, patrzy dokoła —
„Dzyń, dzyń“ — za drzwiami dzwonek już woła.
To proboszcz przyszedł, szepce pacierze,

Święconą wodę kropidłem bierze
I, kropiąc zwolna te Boże dary,
Święci, jak każe obyczaj stary.
Potem życzenia: „Spożyjcie z Bogiem,
Co On wam zesłał!“ — Już ksiądz za progiem.
Jutro, gdy Mania wróci z kościoła,
Skosztuje pracy rąk swych wesoła!

Wielkanoc.

Radość, radość dziś wokoło,
Jezus zmartwychwstaje!
Dzwony dźwięczą tak wesoło,
Słonko rychlej wstaje.
O świeć słonko, siej blaskami,
Ptak niech z piosnką wzlata,
Niech się wszyscy cieszą z nami,
Zmartwychwstał Pan świata!
Biją dzwony, głośno, głośno —
I serce im wtórzy
I tę wielką pieśń radośną,
Wita mały, duży.

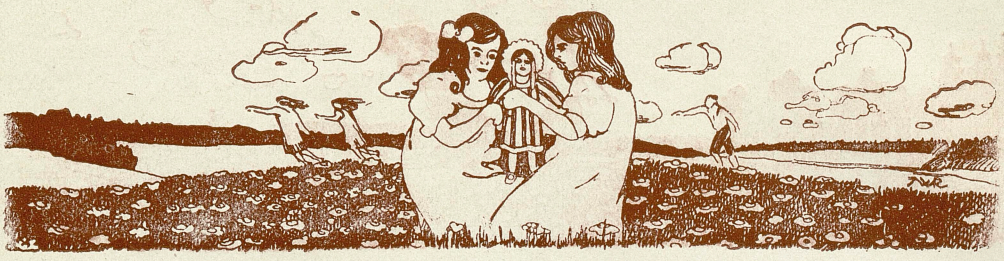

Już po wakacyach.

Już po wakacyach, wzywa dzwon szkolny:
„Chodź do nauki, chłopcze swawolny,
I ty się uczyć chodź, dziewczę hoże,
Zacznijcie lekcye znów w imię Boże!
Uczcie się, uczcie, pókiście młodzi,
Straconych godzin nic nie nagrodzi!“
„Dzyń, dzyń, już późno, chodź chłopcze młody,
Pora porzucić czasy swobody,
A choć ci milsza może zabawa,
Niźli ta twarda, ta szkolna ława —
I choć ci może smutno i nudno
I choć nauki idą ci trudno,
Zwalczaj wytrwale wszelkie przeszkody,
Dopókiś mały, dopókiś młody!
Po dniu nauki znów ciebie zwolnię,
Dzyń, dzyń, choć dziecię, ucz się mozolnie!“

Zgoda.

Witoldek, syn właściciela wioski, od kilku dni zaczął uczęszczać do wiejskiej szkółki. Był grzeczny i dobry, to też chłopcy polubili go bardzo. Tylko jeden z pomiędzy nich, Wojtuś, chętnie szukał sposobności dokuczenia mu.

Zdarzyło się raz, że chłopcy wychodząc z poobiedniej lekcyi, zatrzymali się przed szkołą, oglądając wzajemnie swoje zeszyty. Był wśród nich także Witoldek.

Z zajęciem sprawdzał swoję zadanie rachunkowe z zadaniami innych chłopców. W tem przyskoczył Wojtuś i pchnąwszy silnie i niespodzianie Witoldka, przewrócił go w wielką kałużę błota.

Krzyk oburzenia wyrwał się z piersi wszystkich chłopców.

Witoldek, zwalany i pobrudzony, w jednej chwili zerwał się na nogi i spokojnie ubranie i książki oczyszczać zaczął.

— No, co, — drwił Wojtuś — pewnie naskarżysz przed swym tatusiem i będziesz prosił, żeby mnie mój ojciec zbił za tego figla? Czy nie, paniczyku?

— Mylisz się, odpowiedział Witoldek.

— Wstydziłbym się przed ojcem oskarżać mego towarzysza, tak, jak gdybym to już ja sam sobie z tobą rady dać nie mógł. Jestem dość silny i z pewnością bym się obronił, gdybyś mnie tak niespodzianie nie był napadł.

— No, ciekawym, ciekawym, — drwił dalej Wojtuś — patrz, jaki ja tęgi i silny; jak młody lew, a ty, co, taki komar!

— Nie przechwalaj się za wczasu; możemy sił naszych spróbować!

— Dobrze, dobrze, mocujcie się, zobaczymy, kto zwycięży!

— Ale nie tu — zawołał Witoldek — bo nauczyciel by zobaczył i myślałby, że my naprawdę się bijemy!

Pobiegli więc dalej, na łąkę, by tam rozpocząć walkę i mocowanie.

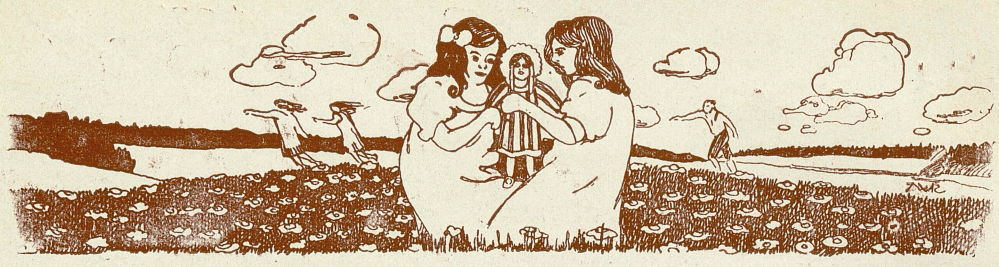

Jedna część chłopców wróżyła zwycięstwo Wojtusiowi, druga Witoldkowi. Chociaż Wojtuś obawiał się kary ojca, ale byłby wolał ją przecierpieć niż przyjąć to przebaczenie winy od Witolda. Czuł, że źle postąpił, ale nie chciał do tego nawet przed sobą się przyznać i postanowił powtórnie przewrócić towarzysza i pochwalić się swą siłą.

To też ze złością i zaciekłością przyskakiwał do niego z zaciśniętemi pięściami.

Ale Witoldek, choć znacznie niższy i szczuplejszy, był o wiele zwinniejszy i szczęśliwie unikał uderzeń. Przytem zupełnie spokojnie wiódł walkę.

— Witoldzie, nie daj się! — zachęcali go towarzysze — bo ten łobuz Wojtek znów cię przewróci!

Tymczasem chłopcy, mocując się, usunęli się już znacznie w bok od obranego miejsca walki.

Wojtuś wciąż z zapalczywością nacierał, a Witoldek zgrabnie odskakiwał i bronił się, i tak posuwali się coraz dalej.

Naraz stanęli nad samym rowem napełnionym brudną wodą.

Krok jeden jeszcze a Wojtuś, nie widząc go po za sobą, byłby wpadł w niego.

Witoldek ręce założył i — strzeż się — zawołał — bo teraz ty w błoto wpaść możesz!

Obejrzał się Wojtuś po za siebie, a potem z wyciągniętą ręką ku Witoldkowi przyskoczył:

— Ty jesteś lepszym odemnie, tak łatwo mogłeś się na mnie w ten sposób zemścić i nie uczyniłeś tego, dziękuję ci i przepraszam!

— Ja się wcale nie gniewałem na ciebie, ale czy będziesz mnie też teraz trochę lubił, i czy nie będziesz mi już więcej dokuczał?

— O nie, Witoldku!

— No więc zgoda!

— Zgoda, zgoda, i z radosnym krzykiem rozbiegli się chłopcy do domu.

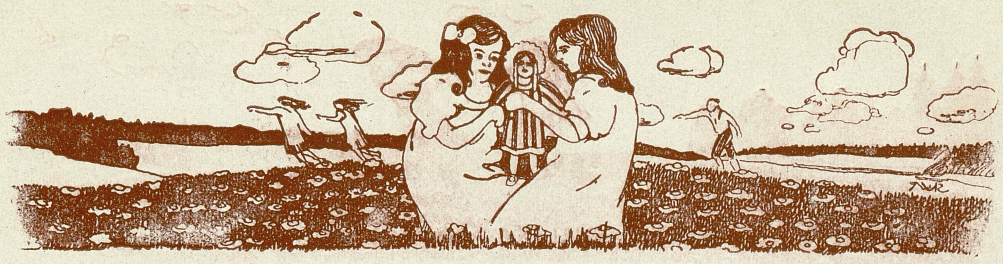

MAJ

Już zakwitło ziemi łono,
Wszędzie ślicznie i zielono,
Fiołki już podnoszą główki,
Jaśmin, bzy mają pąkówki,
Konwalijki w lesie dzwonią,
Wnet i róże się zapłonią,
Słonko pewnie i lilije,
Swojem tchnieniem wnet rozwije!
Kwiatki stroją się w swe wdzięki
Na cześć Najświętszej Panienki;
Zda się prosić chcą was, dzieci, —
— Nim nam krótkie życie zleci,
Ach, zerwijcie nas na wianek,
I w majowy, cudny ranek,
Konwalje, fiołki, lilije,
Niechaj uwieńczą Maryę!

Muszko, nie wchodź w nos!

Całą zimę we śnie trwała,
Teraz znów do życia wstała,
Uwija się żwawo mucha
I — „bzzz“ — brzęczy koło ucha.
Ej, ej, muszko, bądź ostrożna,
Wszędzie wchodzić też nie można,
W nos naprzykład, a broń Boże!
Na myśl samą aż się trwożę.
Toż przypowieść znana, stara,
Że kłopotu co niemiara,
Kiedy czasem w nosek dzieci
Taka brzydka mucha wleci.
To objawia się grymasem,
Kończy się zaś różdżką czasem,
Więc ci muszko radzę grzecznie,
W nosek wchodzić niebezpiecznie!

Dzwoni święcony dzwon.

„Dalej, dalej, do kościoła!“
W każde święto dzwon tak woła
I zaprasza grzecznie, pięknie,
„Niech tu dziecię przyjdzie, klęknie!“

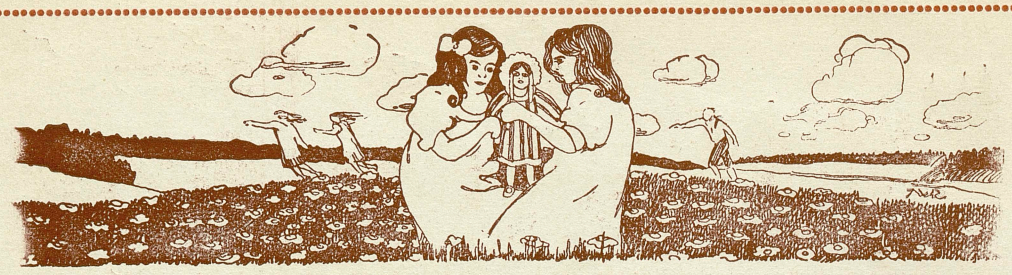

Czy w niedzielę, czy to w święta,
Chodź, módl się i złóż rączęta,
Westchnąwszy do Bozi szczerze,
Złóż mu serduszko w ofierze!

„Przyjdź dziecino," — dwonek dwięczy,
Gdy modląc się, dziecię klęczy,
Cieszą się Aniołki w niebie,
Bóg mile patrzy na ciebie!

„Przyjdź tu, przyjdź tu," — dzwon zaprasza,
„Przyjdź tu, polska dziatwo nasza,
Tu, w kościelnej świętej ciszy,
Wszystkie prośby Bóg usłyszy!

Droga życia tak daleka,
A tu święta jest opieka,
Módl się grzecznie, módl się ładnie,
A włos z głowy ci nie spadnie!"

Kogucik.

Zaledwie młody kogucik trochę podrósł i dostał kilka ładnych piórek, zeledwie fałszywym głosem trochę zapiać umiał, już chciał zakosztować wolności.

Nie chciał słuchać mamy swojej, ani tatusia, który znany był całej ulicy z rozgłośnego swego — „kukuryku!“ — nie chciał słuchać Magdy, dziewczyny podwórzowej, i zawsze na samotne puszczał się wędrówki. Codziennie zwiedzał okoliczne łąki i ogrody i nieraz z cudzego podwórza dzieci dla postrachu kamieniem go wyganiały, nic to jednak nie pomogło.

Zdawało się kogucikowi, że nikogo słuchać nie potrzebuje i sam sobą rządzić może.

Jednakże ile razy Magda jego towarzyszom ziarno rzucała, wtedy zawsze znalazł się wśród nich, ażeby razem pożywić się i posilić na dalsze wędrówki. Kilka razy Magda przestrzegała go:

„Ej, koguciku, koguciku, pamiętaj, kto nad miarę używa wolności, ten może ją zupełnie stracić!“

Ale kogucik z lekceważeniem odwracał się i piał fałszywie swoje „kukuryku“, aż Magda, uszy zatykając, szybko odbiegła.

Raz, gdy kogucik po dłuższej niż zwykle nieobecności powrócił na obiad i z apetytem pożywiał się, — cap, — niespodzianie Magda schwyciła go za skrzydła i zamknęła w klatce. Kogucik używający dotąd swobody, znalazł się nagle w więzieniu.

Miał czas do rozpamiętywania swego nieposłuszeństwa, musiał siedzieć spokojnie, bo ściany klatki ciasne były, a towarzysze jego tymczasem swobodnie spacerowali po podwórzu.

Wtedy przypomniały się kogucikowi słowa Magdy, że „kto nadużywa swobody i wolności, może ją zupełnie utracić!“

Jędruś i chrabąszcz.

Ciesząc się życiem, chrabąszczyk młody
Bujał, nie czyniąc nikomu szkody;
Dojrzał go łobuz, Jędruś z za płota,
Już go do figlów wzięła ochota,
Przeskoczył płotek, już jest w ogródku.
Biedny chrabąszczyk, los pełen smutku
Czeka go teraz, — próżno się broni,
Bo go już Jędruś trzyma w swej dłoni,
Obrywa różki, podrzuca w górę;
Ach, temu chłopcu warto dać burę,
Bo w kim brak serca jest już za młodu,
Ten nie zostanie chlubą narodu.

Do lasu!

Do lasu, do lasu,
Kto trochę ma czasu,
Tam śliczna gra dzisiaj kapela,
Tam pełno radości, wesela!
Z dalekiej krainy śpiewacy wrócili:
Tu słowik wśród krzaczka zawodzi i kwili,
Tam znowu skowronek do pracy lud woła,
Chodź, dziatwo, posłuchaj, chodź tutaj wesoła.

I szary wróbelek swój świegot dołącza,
I nuci jaskółka, gdy zwinna i rącza
Ku niebu się wznosi w swym locie,
W słonecznej się kąpiąc pozłocie.
Ach, jakież dziś w lesie wesele,
Bo ptaszki zawodzą swe trele,
Dziękczynnie się modlą, radośnie,
I Bogu hołd niosą — i wiośnie!
I bąk tak coś mruczy jak gdyby podziękę,
I muszka też brzęczy wesołą piosenkę,
I pszczółka się zwija i kręci do koła,
I drzewa schylają z pokorą swe czoła.
Ach, cóż to za czary,
Że dzisiaj las stary
Tak echem radości rozbrzmiewa?
Że wszystko, co żyje, tu śpiewa,
Że szczęściem drży drobny ten listek,
Że szczęściem mu wtórzy las wszystek?
To wiosna, co urok roztacza dokoła!
Do lasu, na koncert, chodź, dziatwo wesoła!
I ty też za liczne rozkosze wiosenki,
Nieś Bogu serdeczne i szczere swe dzięki!

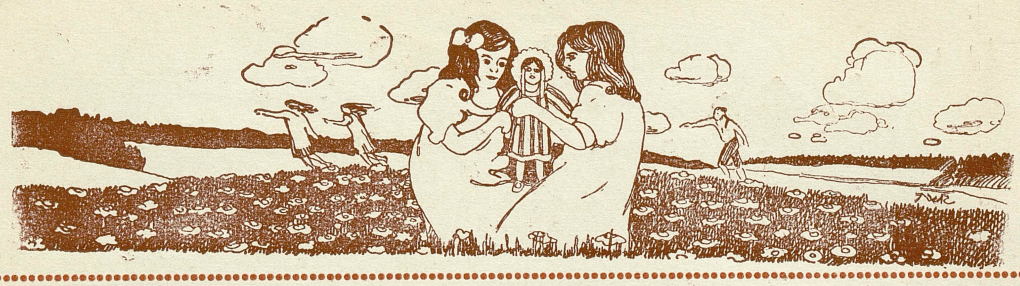

Paciorek Janka.

Co dzień wytrwale w wieczór i ranek
W pacierzu prosi tak mały Janek:
„Niech Cię ma prośba, Boziu, doleci,
Każ, niechaj jutro słoneczko świeci!“
Gdy rano słonko jest za chmurami,
Twarzyczka Jasia zrasza się łzami.
„Mamo, czy Bozia na mnie się gniewa?
Patrz, znów na dworze taka ulewa.“
Całując Jasia, mama odrzeknie:
„Słonko się skryło, lecz nie ucieknie,
Bozia, gdy może, prośby wysłucha,
Lecz niszczy ziemię ciągła posucha,
Nie rodzi zboża spieczona rola,
A więc niech Bozi spełnia się wola,
I choć mój Jasiek o słonko prosi,
Niech lepiej deszczyk dzień cały rosi!“

Legenda o Aniołach Stróżach.

Spią wioski, miasta, a ponad niemi Aniół szeleści skrzydły białemi.

Płacze, choć taki śliczny, uroczy, płacze, zasłonił zlane łzą oczy.

Wnet z innej strony drugi i trzeci ku Aniołkowi Aniołek leci, i płaczą wspólnie srebrnemi łzami, a łzy na ziemię spadły rosami.

Wnet pierwszy pyta:

— Powiedz mi przecie, czemuś zostawił samo to dziecię, co Bóg powierzył twojej opiece? — A Anioł odrzekł: — Ach, w niebo wzlecę z skargą i smutkiem do Pana Boga, bo mnie nie słucha dziecina droga! We dnie i w nocy przy dziecka boku stoję i ciągle mam je na oku i szepcę dobre rady do uszka, lecz głos nie dobiegł mu do serduszka. Tyś me starania widział, o Boże, lecz dziecię ciągle trwa w swym uporze.

A drugi Anioł mówi wśród łkania:

— I moje dziecię słuchać się wzbrania, brzydkiemi słowy kala swą duszę, więc ja to Bogu powiedzieć muszę!

— I rzekł ze smutkiem Aniołek trzeci:

— O złe, niedobre wśród świata dzieci i los nasz z niemi bardzo jest twardy. Mój chłopczyk także taki jest hardy, nie kocha ojca, nie kocha mamy i na sumieniu brzydkie ma plamy! Więc chodźmy, chodźmy zanieść te troski do Pana świata, tam przed tron Boski!

Wysłuchał Pan Bóg Aniołków w górze, kazał nad ziemię zsunąć się chmurze; nagle nad wsiami i nad miastami burza zagrzmiała swymi grzmotami.

Lśnią błyskawice, chwieją się drzewa, spływa na ziemię straszna ulewa. Ze snu się budzą niegrzeczne dzieci i strach się dziwny w sercach ich nieci i błyszczy trwogą w zbudzonem oku. Anioła Stróża nie ma przy boku!

Więc na łóżeczkach klękną w pokorze i w wielkiej trwodze mówią:

O Boże!

W imię Ojca, w imię Syna!
Choć jestem grzeszna dziecina,
Głos błagalny do Cię woła:
Przyślij mi znowu Anioła!
I w imię Ducha świętego
Ochroń mnie, Boże, od złego!

Coś zaszumiało cichym szelestem i Anioł szepnął:

— Dziecię, już jestem! Uśnij spokojnie, zamknij oczęta, jest ponad tobą opieka święta! Uśnij spokojnie, zamknij powieki, ja cię strzedz będę zawsze, na wieki, tylko dziecino, o moja droga, już nie obrażaj grzechami Boga!

Dziecię usnęło i śpi z uśmiechem, a grzmot już słabszem ozwał się echem.

Zagadki.

ZAGADKA I.

Pierwsze, woźnica woła na koniki,
Gdy z miejsca ruszyć chce dalej,
Drugi, miewają dziewczynki, chłopczyki,
Lecz również starcy i mali.
Trzecie, litera znana w alfabecie,
Wszystko, to pora najmilsza na świecie.

ZAGADKA II.

Pierwsze, drugie, krówka dała,
Drugie, pierwsze, dziatwo mała,
Chcesz zobaczyć, idź na pole,
Ale także masz w stodole.

ZAGADKA III.

Zbierzcie, dzieci, myśli w głowie!
Dzień w tygodniu tak się zowie
Jak miasto w naszej dzielnicy.
Ta zagadka taka łatwa,
Ze wnet pewnie polska dziatwa
Domyśli się tajemnicy.

ZAGADKA IV.

Przez **m.**, Pan Bóg w pustyni karmił tem rzesze,
Przez **p.**, gdy będziesz dużą, zwać cię pospieszę,
Przez **s.**, miłą rozrywką jest nam wśród zimy,
Przez **w.**, i ta nam miła, gdy w niej siedzimy.

ZAGADKA RACHUNKOWA I.

Jakie wyście też ciekawe,
Chcecie, bym wam zdała sprawę
Na dziewcząt dwadzieścia kilka,

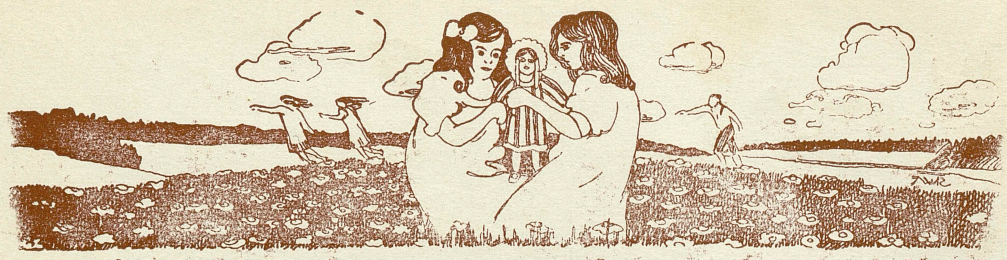

Którą w klasie jest Marylka.
Niech policzy, kto chce wiedzieć,
Którą ona może siedzieć.
Zlicz twe oczy, nos wraz z bródką,
Mnóż przez dziesięć, lecz pręciutko,
Dodaj usta, uszu dwoje,
Jeszcze u rąk palce twoje,
Prędko siedm dołóż potem,
Myśl bujając szybkim lotem,
Niech przez trzy wszystko podzieli,
A będziecie wnet wiedzieli,
Którą w klasie jest Marylka.
Ach, gdybyż, wzorem motylka,
Myśl jej ciągle nie bujała,
Możeby pierwszą siedziała.

ZAGADKA RACHUNKOWA II.

Ile lat sobie liczysz Halinko?
Pyta się Zosia wciąż uporczywie,
A ta, ziewając z znudzoną minką
Odpowie małej na to leniwie:
„Porachuj sama. Wiesz, że twój tatka
Ma lat skończonych czterdzieści cztery,
Że zaś trzydzieści ma twoja matka,

Rachunek przeto łatwy i szczery.
Przed ilu laty większym wiek jego
Był od jej wieku równo dwa razy?
Gdy to zrachujesz, dowiesz się mego.
Masz papier, pióro na twe rozkazy.

ZAGADKA RACHUNKOWA III.

„Franek mieszka hen wysoko,
Tak, że ledwie dojrzy oko
Okienko jego mieszkanka!“
Tak mówił kolega Franka.
„Wieleż stopni przejść potrzeba,
Aby być tam, blisko nieba?“
Tak zapytał Janek mały.
„Och, toż to rachunek cały;
Ja odpowiem ci zagadką,
Chcesz to wiedzieć, rozwiąż gładko:
Pójdziesz naraz po dwa stopnie,
To umęczysz się okropnie
I jeden ci pozostanie.
Po trzy pójdziesz znów, kochanie,
To dwa stopnie będą wolne.
Gdy po cztery twe swawolne
Chcą wskakiwać naraz nogi,

Trzy zostaną ci, mój drogi.
Po pięć teraz będziesz wchodził,
Byleś sobie nie zaszkodził,
Cztery stopnie masz przed sobą.
Po sześć skaczesz swą osobą,
To pięć, Janku, ci zostanie.
A po siedem, ach, kochanie,
Choć ci coraz jest goręcej,
Lecz ni jeden stopień więcej
Już nie dzieli cię od Franka!
No, zlicz schody od mieszkanka!

CZERWIEC

Ach, co kwiatków wszędzie kwitnie,
Żółto, różowo, błękitnie,
Tyle ciepła, tyle słońca,
A dzień długi, aż bez końca.
Chłopcy w polu dla zabawki
Z wierzby strużą cud-ligawki,
I tak grają w polu, w lesie,
A głos echo hen, w świat niesie.
Pasąc w polu gąski swoje,
Grają chłopcy piosnek roje,
A te piosnki aż do góry
Płyną, gdzie Anielskie chóry,
Głoszą Boga wieczną chwałę,
Rozbrzmiewając dzionki całe.

Łakomy Wacek.

Mama na Świątki upiekła placek;
Gdy od piekarza zabrał go Wacek,
Tak zapachniało mu słodkie ciasto,

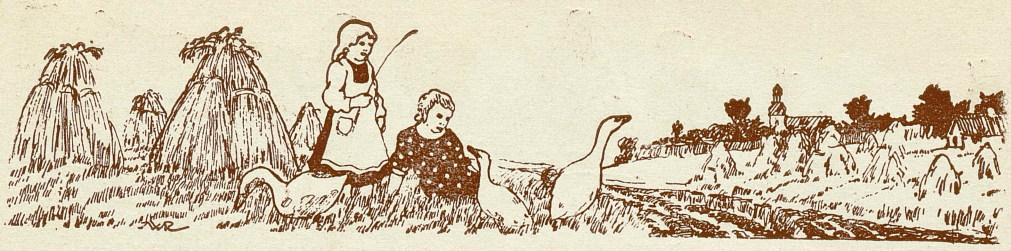

Że choć przez ludne szedł sobie miasto,
Nie mógł powstrzymać łakomstwa grzechu,
Słodkie rodzenki zjadał w pospiechu.

Widząc, że z placka taka ruina,
Gniewnie spojrzała mama na syna,
A on, z rumieńcem wstydu na twarzy:
„Mamo, rzekł, to jest sprawka piekarzy.“
I spuścił oczy z wielkim pospiechem,
Łącząc grzech kłamstwa z łakomstwa grzechem.

Oj, złe następstwa mają wykręty.
Gdy wstał nazajutrz poranek święty,
Każdemu trochę podano placka,
Z wyjątkiem tylko małego Wacka;
On dostał tylko kawałek chleba,
Ach, nigdy, nigdy, kłamać nie trzeba!

Zielone Świątki.

Świętej religii naszej obrządki
Każą nam święcić Zielone Świątki:
Duch święty z niebios spływa na ziemię
Zbudzić, co w ludziach uśpione drzemie.
Zgładzi złość waszą, w dobrem oświeci,
Rączki ze skruchą złóżcie więc dzieci.

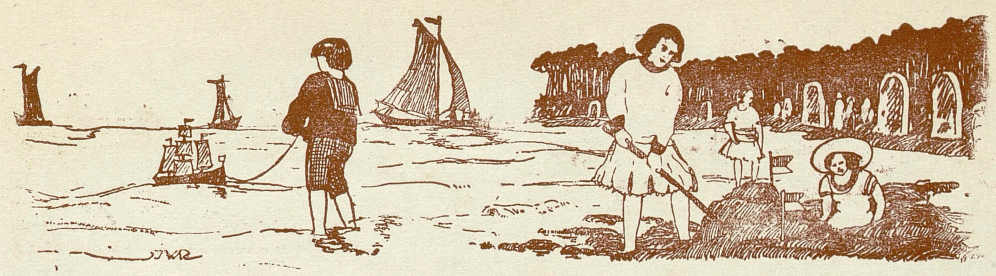

Gdy głos sumienia szepnie do uszka,
Jaki grzech brudził wasze serduszka,
Niech ze łzą szczerą budzi się skrucha,
A spłynie łaska świętego Ducha.
Kiedy Duch święty zstąpił na ziemię,
Niechże się zbudzi, co w sercach drzemie!
Spójrzcie z wdzięcznością, cud łaski Bożej,
Tyle dokoła skarbów się mnoży,
Znów świeża zieleń, znów nowe kwiatki
I młoda wiosna, cieszcie się, dziatki!
Słuchajcie, piosnkę śle w niebo ptaszę,
I wy też wznieście tam modły wasze!

Do Częstochowy.

Jaś i Helenka byli dziećmi ubogiego rzemieślnika. Kiedy Jaś był jeszcze dzieckiem, był bardzo chorowity, i biedni rodzice nieraz myśleli, że im się ich jedynak nie uchowa.

Gdy raz jako trzyletni chłopczyk leżał w strasznej gorączce i doktór uratować go już nie mógł, matka z całą ufnością wzniosła swe modły do Najświętszej Panny Częstochowskiej i ślubowała wtedy, że jeśli Jaś wyzdrowieje, sam u stóp Jej ołtarza w Częstochowie za uratowane życie podziękuje.

W kilka dni potem Jaś przytomnie rozglądał się do koła i uśmiechał do matki, a z czasem wzmocnił się i wyrósł na ładnego

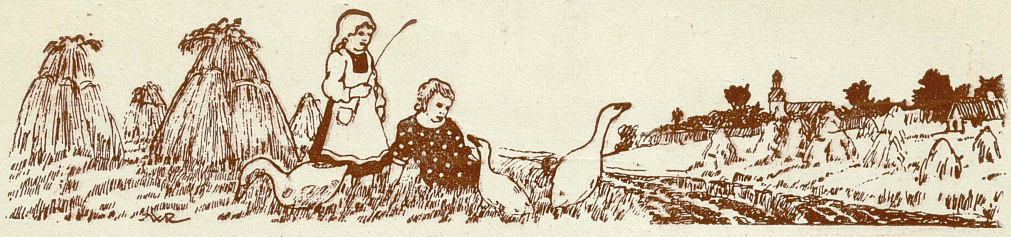

i zdrowego chłopaczka. Teraz miał właśnie lat dziesięć i ojciec zdołał przy wielkiej oszczędności ze skromnego swego zarobku odłożyć trochę pieniędzy na podróż do Częstochowy.

Było to w sobotę, na tydzień przed Zielonemi Swiątkami.

W tym czasie rozpoczyna się corocznie odpust w Częstochowie.

Wieczorem Jaś długo usnąć nie mógł i widział, jak po skończonej robocie ojciec z szafy wyjął skarbonkę, wysypał pieniądze, a przeliczywszy je, uśmiechnął się i długo coś z matką rozmawiał. Ale sen skleił powieki Janka i nic już więcej nie widział ani nie słyszał.

Nazajutrz, kiedy po nabożeństwie dzieci z rodzicami do domu powróciły, zawołała je matka i rzekła:

— Podziękujcie ojcu, w przyszłą sobotę jedziemy do Częstochowy.

Okrzyk radości był odpowiedzią dzieci i po chwili Jaś i Helenka całowali ręce ojca.

— Tatusiu, czy naprawdę? — pytał Janek.

— Tak, tak, moje dzieci, naprawdę pojedziemy do Częstochowy.

Uradowane dzieci skakały po pokoju i co chwila rzucały się rodzicom w objęcia. Wreszcie Janek pociągnął Helenkę i klękli razem przed obrazem Matki Bożej. Złożyli ręce, a Jaś mówił głośno i serdecznie:

— Dziękuję Ci, Najświętsza Panno, iż za Twoją pomocą będę mógł przed Twoim cudownym obrazem podziękować Ci za zdrowie i życie.

Wstali z klęczek i Jaś znów skakał po pokoju.

— Tatusiu, mamo, zobaczycie, jak z tego cudownego miejsca wrócimy, to jeszcze będę zdrowszy i taki będę mocny i uczyć się będę i pracować. Najświętsza Panienka mi dopomoże, bo przecie prosić Ją będę o to. Wyrosnę rodzicom na pociechę, w starości biedy nie zaznacie!

— Mamusiu, prosiła Helenka, żeby nam Mamusia opowiedziała co o Częstochowie, nim tam pojedziemy.

— Moje dzieci, kiedyś czytałam coś o tem świętem miejscu, byłam tam też już, widziałam wszystko, ale z pamięci to już wyszło, czasu też teraz nie mam, obiad muszę gotować.

Dzieci poszeptały coś z sobą, wreszcie Janek zapytał:

— Mamusiu, pozwoli nam mama iść do tego siwego pana na drugą ulicę? On wie o wszystkiem, to może nam i o Częstochowie co opowie.

— Idźcie, idźcie, moje dzieci, tylko wróćcie na obiad.

Po chwili Jaś i Helenka pukali do drzwi skromnego mieszkanka w podwórzu.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz słaby głos.

— To my, Jaś i Helenka.

— A to wy, no, to wchodźcież, wchodźcie. Witajcie mi moje promyczki, ptaszki, słoneczka. Kocham ja dzieci, kocham i aż mi raźniej, skoro je widzę, a wyście dawno już u starego nie byli, zapomnieliście; no, i cóż mi dzisiaj powiecie?

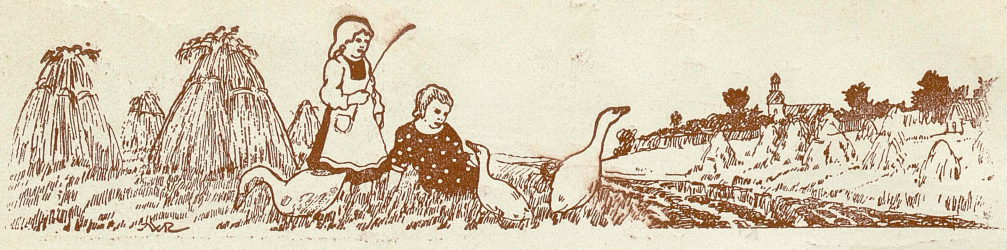

— Do Częstochowy jedziemy! — krzyknęły równocześnie z radością w oczach dzieci. Helenka zaś, całując pomarszczone dłonie starca, dodała:

— Z prośbą przyszliśmy, niech nam pan o Jasnej Górze i cudach Matki Boskiej opowie.

— Dobrze, dobrze, moje dziatki, poszukam w pamięci i co się przypomni, opowiem; a wy, czy zmówicie tam za mnie paciorek?

— Zmówimy, zmówimy, zawołały dzieci i siadły u nóg starca.

On pogłaskał je po główkach, zapalił świeżą fajeczkę, namyślił się chwilę i wreszcie zaczął:

— Obraz Matki Boskiej w Częstochowie, przed którym modlić się będziecie, malował św. Łukasz Ewangelista. Jest on malowany na tablicy z drzewa cyprysowego, które niegdyś znaleziono w Nazarecie, w domku, gdzie Chrystus Pan się wychował. Cudowny wizerunek Najświętszej Maryi Panny znajduje się w Częstochowie od roku 1382. — Od tego czasu zasłynął on wielu, wielu cudami, wszystkich ani bym wam zliczyć nie umiał. Nawet wyznawcy innych religii nieraz przybywają z dalekich stron prosić o łaskę jaką, albo o zdrowie Najśw. Pannę. Największy cud jednak i swoją świętą nad nami opiekę okazała Matka Najświętsza w czasie napadu Szwedów na klasztor Jasnogórski.

Bardzo to już dawno temu, bo w roku 1655. Szwedzi wpadli do Polski, rabowali, palili i cały kraj pod swoje panowanie zabrać chcieli. Ogromny wtedy w całej Polsce zapanował popłoch. Jedni

uciekali i w bezpieczne chronili się miejsca, drudzy sami poddawali się najezdnikom, nie myśląc o obronie. Szwedzi słysząc, że w Częstochowie, w skarbcu na Jasnej Górze, wiele drogocennych znajduje się rzeczy, i te także zrabować postanowili, pewni, że nikt im w tem nie przeszkodzi. Omylili się jednak i gorzko tego żałowali.

Odpoczął trochę staruszek i po chwili mówił znów dalej:

— Klasztor w Częstochowie dla obrony przed Tatarami i innymi nieprzyjaciółmi, którzy często Polskę napadali, opasany był wysokiemi murami i wieżami. Skoro zakonnicy-Paulini posłyszeli o zbliżaniu się Szwedów, uzbroili kilkudziesięciu swoich żołnierzy, uzbroiła się także garstka szlachty, która z rodzinami schroniła się do klasztoru, i zamknięto szczelnie wszystkie wejścia. Przed ołtarzem Matki Boskiej odbywały się solenne nabożeństwa, wszyscy Jej świętej opiece polecili życie swoje i ufając, że ich nie opuści, czekali nieprzyjaciela.

Wkrótce ujrzano go. Przybył jenerał Miller, prowadząc 17 000 wojska i 20 armat. Gdy ujrzał mury opasujące Jasną Górę, roześmiał się, mówiąc, że dla jego żołnierzy, którzy zdobywali murowane fortece, będzie dziecinną zabawką zdobyć ten klasztor. Wysłał nawet posłów do Ojców Paulinów, radząc, ażeby mu się poddali dobrowolnie. Ale przeor, ksiądz Augustyn Kordecki i wszyscy inni zakonnicy z oburzeniem odtrącili samą myśl taką, mówiąc, że Boga lękają się, ale nie Szwedów i przeto nie oddadzą im przybytku świętego. Zaczęła się więc walka i okazał się jawny cud Najświętszej Maryi Panny. Pociski Szwedów chybiały, kule armatnie odbijały się od

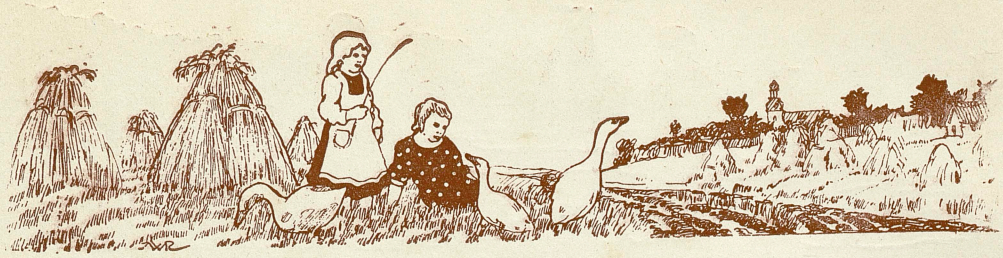

muru i wracając, ich samych raniły i zabijały. Za to strzały nielicznych Polaków były trafne i nieprzyjaciele padali. Nie ubywało ich jednak, bo jedni zastępowali drugich, i nowe oddziały wojska, prowadząc znowu kilka armat, nadciągnęły z pomocą.

Wtedy to Polacy stracili wiarę w swoje zwycięztwo. Opuścili osłabłe dłonie i poddać się chcieli. Nie tylko żołnierze i szlachta, ale nawet i mnisi sarkać zaczęli przeciw przeorowi, że na śmierć pewną wszystkich ludzi naraża. Ale z krzyżem w ręce wstąpił pomiędzy nich ksiądz Augustyn Kordecki. Wskazując chorągiew z wizerunkiem Najśw. Panny, zagrzewał ich słowem do boju. Błagał, by nie odstępowali, błogosławił, stojąc na murach. Nieustraszony, głośno odmawiając modlitwy, stał w miejscu, gdzie kule najwięcej padały i zdawał się palić cały w blasku płomieni. Twarz jego i habit czarne były od prochu i dymu.

Ten przykład podziałał znów na Polaków. Z nową siłą i wiarą zaczęli obronę. Czterdzieści dni trwała już walka. Miller w cuda nie wierzył, lecz gdy wśród płomieni ujrzał wyraźnie unoszącą się nad klasztorem Matkę Boską, przeraził się i wojska swoje cofać zaczął. Przekonał się, że to, co za zabawkę uważał i pewnym był zdobycia, zdobyć się nie da, że wola Boska silniejszą jest od oręża ludzkiego. Ocalony został kościół, klasztor i cudowny obraz Matki Boskiej. Najśw. Marya Panna cud okazała i natchnęła księdza Kordeckiego, ażeby za jego pomocą zbawić święty swój przybytek.

Przykład księdza Kordeckiego podziałał na wszystkich Polaków. Zabrali się i wspólnemi siłami wypędzili Szwedów z kraju.

Zmęczył się staruszek i zakaszlał.

— Matka Boska nie tylko Matką, Opiekunką i Obronicielką jest naszą, ale także i naszą Królową!

— Pojedziemy do Niej, do naszej Matki i Królowej! — wołały dzieci, całując ręce starca. — Dziękujemy za opowiadanie, dziękujemy, a na pamiątkę obrazek przywieziemy.

— Dobrze moje dzieci, jedźcie, módlcie się, wróćcie zdrowe i przyjdźcie znów do mnie, a teraz idźcie z Bogiem.

— Niech Pan zostanie z Bogiem! — zawołały, wybiegając, dzieci.

Do dzieci

na dzień pierwszej Komunii św.

Otwórzcie przybytek serc waszych, o dzieci,
Pan Jezus w nich dzisiaj zagości,
Niech wdzięczność dla Niego się w sercach rozkwieci,
I błyśnie łzą szczerą miłości!
Na oścież, na oścież serduszek dziś wrota,
Wyrwijcie z nich chwasty szkodliwe,
Niech z oczu anielska przegląda wam cnota,
Wy dziatki dziś takie szczęśliwe!
Zawita dziś do was Pan Jezus, Pan świata,
Raz pierwszy dziś złączy się z wami,
Niech myśl się więc wasza na wieki z Nim zbrata,
Przyjmijcie Go z skruchą i łzami!

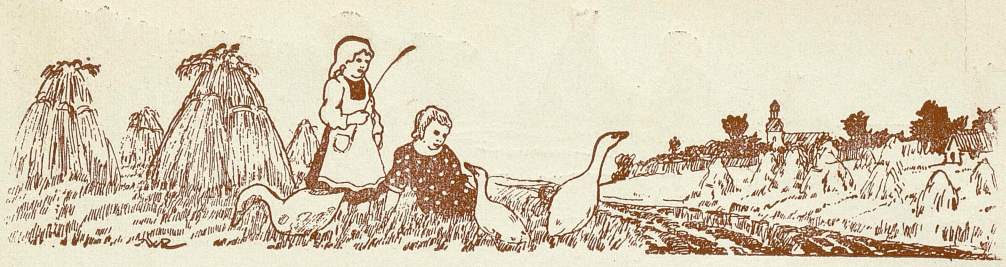

Przed procesyą.

Chodźcie róże i bławatki
I narcyzy, bzy, powoje,
Konwalje, rezedy, bratki,
Chodźcie wszystkie kwiatki moje!
Chodźcie wszystkie do koszyka,
Tu was w wonne podrę płatki;
Choć z was który z przed ócz znika,
Ja was wszystkie zerwę kwiatki!
Nie żałuję was dziś wcale,
Moje śliczne, wonne kwiecie,
Bo ku Bożej dzisiaj chwale
Wśród procesyi w pył padniecie!
Chodźcie róże i bławatki,
W białej sukni, hojną ręką,
Czerpać będę z kosza kwiatki,
Z świętą na ustach piosenką!

Przed wakacyami.

Już czas nauk dobiegł końca,
Coraz więcej słońca, słońca;
Wpada promień w okieneczko:
„Chodźcie chłopcy i dzieweczko,

Złóżcie książki, wyjdźcie z klasy,
Bo swoboby teraz czasy!“
Ach, na dworze tak wesoło,
Świeć pustkami duszna szkoło,
Teraz pora jest szczęśliwa,
Łąka woła, las przyzywa,
Dni upalne, ciepłe noce,
Wietrzyk szumi, ptak świegoce,
I my bujać też swobodnie
Będziemy cztery tygodnie!
A gdy minie pora wczasów,
Powrócimy bez hałasów
Z wakacyjnej tej zabawy
Znów do naszej szkolnej ławy!

Kataryniarz.

Gromadka dzieci powracała z nauki religii. Kościół był w sąsiedniej wiosce i dzieci dosyć daleko miały do domu. Szły teraz ścieżką wijącą się stromo pod górę. Popołudniowe słońce piekło i dogrzewało mocno, rumieniąc policzki dzieci i złocąc ich jasne głowy i kłosy zboża, które po obydwóch stronach ścieżki już dojrzewało. Dzieci gwarzyły wesoło, to znów śpiewały na przemian. Po drodze dziewczęta zrywały modraki i kąkole na wianuszek dla

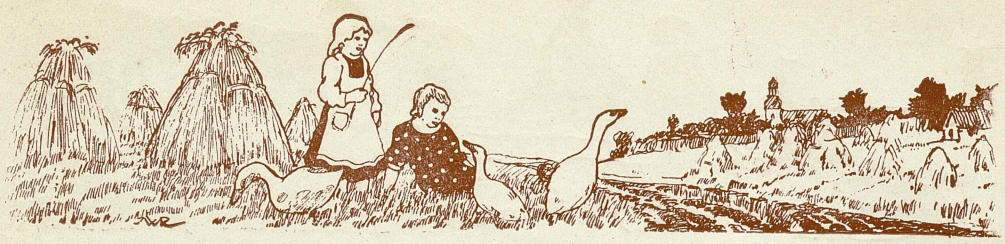

Matki Boskiej, a chłopcy przypominali sobie słowa księdza. Pouczał ich dziś o tem, co to jest dobry uczynek. Wszyscy chłopcy przyznawali, że bardzo przyjemnie jest zrobić coś dobrego.

Nagle dzieci ujrzały z daleka coś czarnego. Przyspieszyły więc kroku, a w miarę ich zbliżania się rósł przedmiot; wreszcie poznały starego kataryniarza, spoczywającego przy drodze. Dzieci znały go od dawna. Nieraz odwiedzał ich wioskę i raźne wygrywał krakowiaki. Teraz znużony siadł nad rowem. Jego wierny towarzysz, pies Zagraj, równie zmęczony, położył się koło wózka, mieszczącego ich jedyny dobytek i przedmiot zarobku, katarynkę. Pies ziajał ciężko, język miał wyschnięty od pragnienia i boki od głodu zapadnięte. Do wioski jeszcze daleko, droga taka stroma, a panu i psu głód i pragnienie dokuczają.

Nagle pies radośnie poruszył ogonem, słychać wesołe dziecięce głosy:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen, moje dzieci!

— Witajcie dziadusiu, — do nas idziecie? Czekajcie, pomożemy wam i Zagrajowi ulżymy!

Po chwilce pies uwolniony z zaprzęgu biegł swobodnie i radośnie poszczekując, łasił się do dzieci.

Wózek popychany i ciągniony przez kilku chłopców, szybko minął pagórek i sunął już na dół ku wiosce. Za nimi szedł zwolna stary kataryniarz, otoczony dziewczętami.

Wkrótce zatrzymali się wszyscy przed pierwszym domkiem. Mała Kasia wbiegła do izby i przyniosła wyborny podwieczorek, dzbanek mleka i kromkę chleba. Poczciwy kataryniarz podzielił się z Zagrajem, a posiliwszy się, grać zaczął.

Grał o więzionej ptaszynie, o krakowiaku, co to miał koników siedm, potem oberka i dziarskiego mazura i wreszcie: „Kiedy ranne wstają zorze.“ Dzieci przytupywały radośnie i śpiew swój łączyły z graniem katarynki.

Potem staruszek zaprzągł znów Zagraja i żegnając się z dziećmi, rzekł: — Bóg wam zapłać, dzieci, spełniłyście dobry uczynek!

— Idźcie z Bogiem, dziadusiu, — odpowiedziały dzieci i dziwiły się, że tak łatwo jest spełnić coś dobrego.

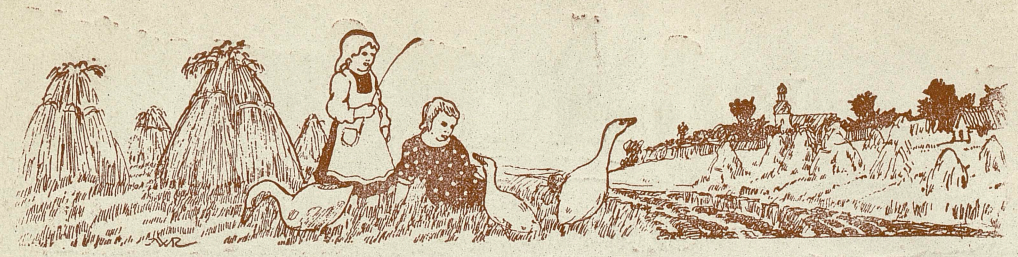

LIPIEC

Aż pachnie w powietrzu od słodkiej lip woni,
Dokoła szum pszczółek, bo każda gdzieś goni,
A każda tak spieszy, a każdej tak pilno,
Zajęta snać pracą jest bardzo usilną.
Tam dalej znów brzęczą koniki, te polne,
Jak zawsze swarliwe i głośne, swawolne,
A słonko tam z nieba spogląda, przygrzewa
I wszędzie naokół gwar pracy rozbrzmiewa.
I tylko ty, światku mój mały i młody,
Od nauk zwolniony, używasz swobody;
Ach, biegnij do lasu, na łąki, na pola,
Tam czeka na ciebie zabawa, swawola,
Używaj wolności, używaj zabawy,
Nim znowu powrócisz do szkolnej swej ławy.

Pracowity Franek.

„Synku“, raz rzekła mama do Franka,
Który się nudził tego poranka,
„Widzisz, kto jeść chce, pracować musi,
Pomóż, syneczku, swojej mamusi.

Patrz, tam z tej chmurki wnet deszczyk spadnie,
Zbierz więc na wózik to sianko ładnie,
Zwieź do stajenki, nim deszcz je zmoczy!“
Franek do pracy żwawo podskoczy,
I tak się męczy ochotnie, szczerze,
Że mamę na to aż radość bierze.
Co jedno sianko w stajni wyrzuci,
To wnet po nowy zapas znów wróci.
Tak się pospieszył, że wkrótce sianka
Więcej nie było; — więc mama Franka,
Dziękując czule, ucałowała,
A tam w stajence kucka zarżała:
„Dziękuję tobie, miły chłopczyku,
Że tak pamiętasz o swym koniku.“

Przygoda lalki.

Choć swą lalkę Ania kocha,
Jednak z niej jest mama płocha,
Posłuchajcież, jak to było,
Czyż się zrobić tak godziło?
Nosi lalkę, pieści, tuli,
Jednem słowem, wzór matuli.
„Goście jadą!“ — wtem ktoś woła,

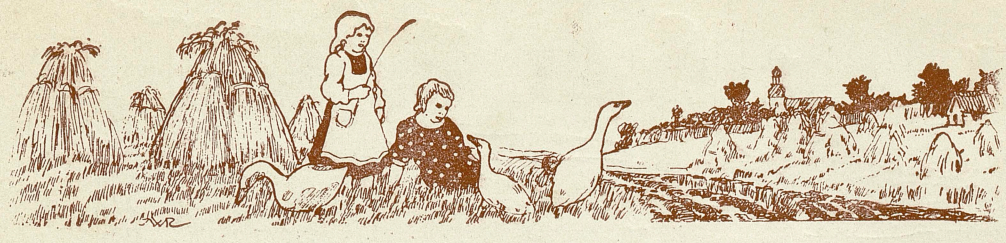

Ania biegnie wnet wesoła,
I już lalka zapomniana
Leży w trawie powalana.
Minął wieczór na zabawie,
Lalka ciągle leży w trawie,
Czyż kataru nie dostanie
Przez niedbałą mamę — Anię?
Śni o lalce Ania w łóżku,
Budzi się z żalem w serduszku;
Ach, gdzie lalka, gdzie jest ona?
Myśli Ania przerażona.
Ledwie błysnął promień słońca,
Szuka lalki swej bez końca,
I znalazła — w jakim stanie?!
Aż serduszko boli Anię,
Już po lalki jej urodzie,
Zbladła buzia w nocnym chłodzie.

Dwa listy.

List Rózi z wakacyi do matki.

Wólka, 12 lipca 1912 r.

Najdroższa Mamusiu!

Obiecałam Mamie, że zaraz stąd napiszę. Donoszę więc, że szczęśliwie zajechałam do Wólki. Moja jedyna Mamusiu, jak też tu

jest ślicznie! O wiele ładniej niż w miejskich ogródkach. Tak pachnie w powietrzu, a trawniki i drzewa o wiele świeższą zielenią pokryte niż w mieście.

Prócz mnie przyjechały tu jeszcze trzy inne dziewczynki, Jadwinia, Magdzia i Frania, grzeczne są i dobre, dla tego też polubiłyśmy się od razu.

Śpimy wszystkie razem w dużym pokoju. Dziś rano słońce wcześnie nas obudziło i po pacierzu i śniadaniu wybiegłyśmy do ogrodu.

Pani już była przy gospodarstwie. Przywołała nas do siebie, powiedziałyśmy jej dzień dobry, a potem pytała każdą o dom i rodzinę i pozwoliła nam z sobą obejść podwórze.

Byłyśmy wszędzie razem. Bydło właśnie pędzono na pastwisko, tyle krów równocześnie jeszcze nigdy nie widziałam. A jakie śliczne konie i źrebiątka. Najwięcej jednak podobały mi się kurki, takie niektóre śliczne, czubate, bo gęsi i indyków to trochę się boję.

Potem pozwoliła nam biegać po ogrodzie i rwać owoce. Ach, mamusiu, jaki wyborny agrest, a jakie truskawki i maliny! Nigdy jeszcze takich nie jadłam. Przykro mi tylko bardzo, że sama używam tych dobrych rzeczy, a Mamusia i rodzeństwo w domu tego nie mają.

Prawda, Mamusiu, jacy dobrzy ci państwo, którzy nas do siebie na lato przyjmują? Będę się starała być bardzo grzeczną, to może, kiedy dorosną moje siostrzyczki, ci państwo wezmą je także na wakacye do Wólki.

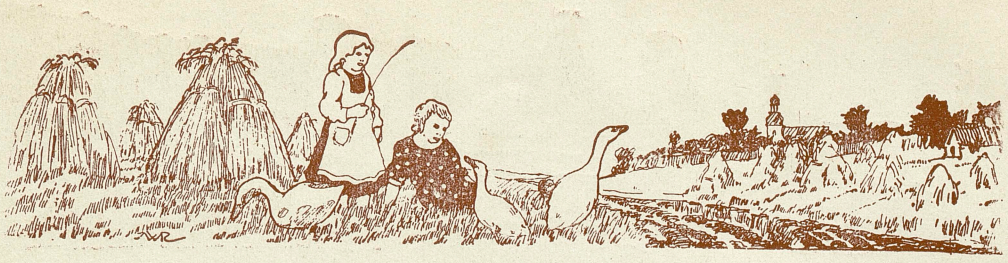

Ta pani taka ładna i dobra, a sama nie ma ani jednego dziecka, więc też cudzemi lubi się opiekować.

Niech Mamusia do mnie napisze, bo chociaż mi tu bardzo dobrze, to jednak tęschno mi też za domem.

Całuję rączki i nóżki Mamy, Micię, Zuzię i Janka ściskam, przywiązana córka.

Rózia.

List matki do Rózi.

Poznań, d. 16. 7. 12 r.

Moja droga córeczko!

Dobrze, że umiesz słowa dotrzymać i że, choć tam tak mile czas spędzasz, znalazłaś sobie chwilę, aby do nas napisać.

Cieszę się, że Ci się w Wólce podoba i że Ci tam dobrze. Pamiętaj, abyś była zawsze grzeczną, posłuszną i usłużną. Staraj się choć w małych rzeczach być użyteczną, bo tylko tym sposobem odwdzięczysz się państwu. Uważaj też na siebie, bo chociaż dobrem jesteś dzieckiem, ale wiesz, że jak się rozdokazujesz, to zanadto głośno krzyczysz i śmiejesz się, zupełnie jak chłopak, a to dla dziewczynki nie ładnie.

Nie jedz też zanadto owocu, żebyś sobie żołądka nie zepsuła. Pierwszy to raz jesteś sama za domem, to też rady i uwagi matki Ci się przydadzą.

O nas niech Cię serduszko nie boli, moje drogie dziecko, dosyć jesteśmy zdrowi. Zajęcia mam dużo, więc też i pieniędzy nie brak. Będę się starała wcześniej zawsze robotę złożyć, ażeby choć trochę wyjść z dziećmi na powietrze.

Napisz znowu, moja Róziu, i donieś o wszystkiem. Twój list dałam sąsiadce do przeczytania, dziwiła się, że umiesz tak ładnie wszystko wyrazić. Biedne jej dzieci takie mizerne, szkoda, że one także nie zostały wysłane.

Całuję Cię, moja Róziu, serdecznie i Panu Bogu polecam, Twoja

m a t k a.

Micia, Zuzia i Janek także Cię ściskają. Wszyscy znajomi z kamienicy kazali Cię pozdrowić.

Modlitwa chorego dziecka.

Słonko tak świeci, ślicznie wokoło,
Mnie boli główka, mnie nie wesoło.
Tysiąc się kwiatków wśród łąki kwieci,
A mnie w łóżeczku czas smutno leci.
Wciąż nazywają mnie dzieckiem chorem,
Gwiazdki mrugają na mnie wieczorem,
Na świecie żyję lat tak nie wiele,
Strzeż mnie w chorobie, Stróżu Aniele!
Nawet zabawki teraz mnie nużą;

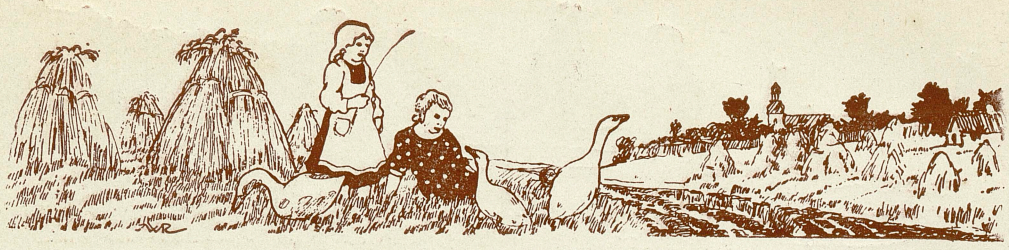

Boziu, masz w niebie Aniołków dużo,
Mamusia ma mnie tylko jednego,
Nie każ mi umrzeć, chroń mnie od złego.
Kocham Cię, Boziu, lecz proszę Ciebie,
Nie bierz mnie jeszcze, nie bierz do siebie.

Jurcio i pszczółka.

„Tatku, tatku, Jerzyk woła,
Tak mnie goni wciąż ta pszczoła,
O, niech tatko tylko słucha,
Jak mi brzęczy koło ucha;
Chce mnie kąsać, o mój tato,
Proszę, zabij ją też za to.“
„Nie, mój chłopcze, tak nie zrobię;
Stój spokojnie, pójdzie sobie,
Nie ukąsi pszczółka ciebie.
Powiedz, lubisz miód na chlebie?
A czy wiesz skąd ta ciecz złota?
Drobnych pszczółek to robota.
Pracowite całą rzeszą
Z kwiatka na kwiat wciąż się spieszą,
Zewsząd słodycz wyciągają
I do ula ją wkładają.

Ja się tobą nie poszczycę,
Gdy zabijesz pracownicę,
Co pilnością, dobrym ładem,
Świecić może ci przykładem!“
Wstydem Jurcia twarz spłoniona,
A zaś pszczółka nie goniona
Hen, odbiegła od chłopczyka,
I nad kwiatkiem już gdzieś bzyka.

Moja matusiu!

Moja matusiu, nie smućcie się tylko,
Ja, chociaż mały, podrosnę wnet w siły;
Lata nam spłyną jedną krótką chwilką.
I chociaż tatuś spoczął wśród mogiły,
Będziesz mieć wszystko, wszystko, co potrzeba,
I dach nad głową i dostatek chleba!

Zobaczysz matuś, tylko osusz oczy,
Bóg nie opuści nas przecie w potrzebie,
Matka Najświętsza płaszczem swym otoczy,
Będziem pracować na tej naszej glebie,
Będziem uprawiać naszą ziemię czarną,
Bóg w stokroć zwróci wrzucone w nią ziarno.

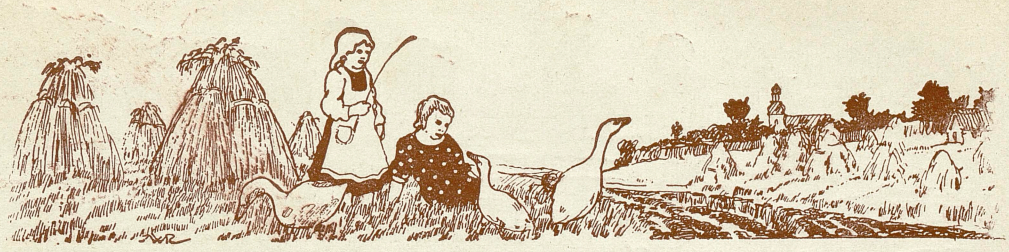

Tak, siedząc z matką na chaty swej progu,
Jaś czułem słowem pocieszał znękaną.
Nie zginie nigdy, kto ufność ma w Bogu,
I wszelkie smutki lżejsze mu się staną;
Bo kto wytrwale dźwiga swoje brzemię,
Temu Anioła Bóg zsyła na ziemię!

Sen Magdzi.

Poprzez łąki i pola w niedzielny ranek płynie głos dzwonów:

— Do kościoła, do kościoła!

— A pospieszno się, Magdziu — powiada ojciec — już dzwonią, to i czas w drogę, pójdziemy razem!

— Niech tatuś za mną nie czeka i sam idzie — powiada Magdzia — przecież niedziela, odświętnie przystroić się trzeba, nie prędko jeszcze będę ubrana.

— Oj Magdziu, Magdziu — westchnął ojciec — nacisnął kapelusz na głowę i ku kościołowi ruszył. Nie wesołe były rozmyślania jego w drodze. Od roku wdowiec, nie mógł sobie z córką poradzić. Niby to ona dobra i kochająca, a jednak, nie pierwszy to przecież raz dziś bez niej do kościoła idzie. Zawsze jakieś tam znajdzie wykręty. A to deszcz i błoto, świąteczne ubranie zwalałoby się, a jakoś jej się nie widzi nie przystrojonej iść do domu Bożego, a to znowu mróz szczypie zanadto, albo śnieg oczy zaprósza.

Latem znów kurzawa straszna, a w kościele z gorąca ledwie nie uśnie. Wiadoma rzecz, że sierocie prędzej źle niż dobrze na świecie być może, a cóż dopiero jeszcze, jak Pan Bóg rozgniewany odwróci od niej Swą łaskę?

Tak rozmyślał stroskany ojciec.

Doradzała mu wprawdzie kiedyś sąsiadka, żeby rózgą dziewczynę do kościoła zapędził, ale serce go boli, gdy pomyśli, że miałby tak tę swoją sierotę wychłostać.

I tak ojciec sam znów padł w kościele na kolana, prosząc Boga o łaskę nad Magdzią. Magdzia tymczasem po odejściu ojca do sadu pobiegła, ażeby kwiatkami warkocze przystroić.

Tu śliczne stokrotki, tam bławatki i pachnąca rezeda. Rwie Magdzia kwiatki, a przygląda im się i woń ich słodką w siebie wchłania i podziwia, jak też to Pan Bóg ślicznie wszystko urządził. I tak myśli o Bogu, a zapomina jednak, że czas najwyższy do kościoła.

Lipy właśnie na rozkwicie, jeszcze aby parę gałązek z ich kwiatkami zerwie, a potem, to już tylko książkę weźmie i pospieszy do domu Bożego.

Dobre niby miała Magdzia zamiary, ale jak tylko zmęczona upałem w cień lipy się dostała, tak sama ani nie wiedziała, jak i kiedy usnęła, padłszy na darniową ławeczkę.

Śpi Magdzia, ale jakiś dziwny sen ją męczy. Oto śni jej się, że ten wielki dzwon, co wisi w pośrodku dzwonnicy, spuścił się na dół i, kołysząc się, biegnie w stronę ich chaty, a serce dzwonu

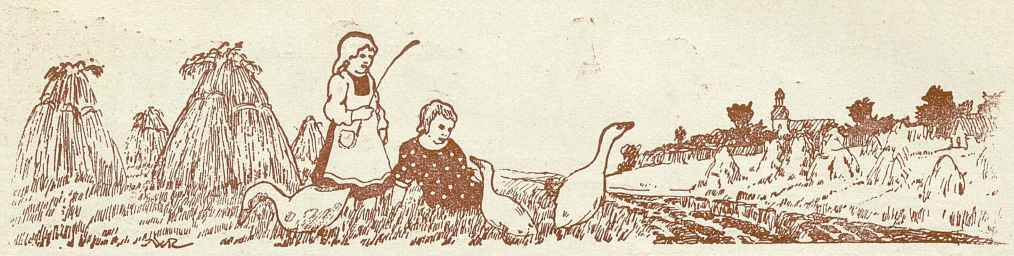

bije o jego boki i powtarza: Hej, śpiochu! do kościoła, do kościoła! Już dzwon jest coraz bliżej, coraz bliżej, a Magdzia śni, że ruszyć się nie może. Co to będzie? Może on przykryje ją sobą i zamknie w takiem ciasnem więzieniu, a może zabierze ją i na dzwonnicy powiesi?

Już głos dzwonu nad samem uchem Magdzi dźwięczy: Próżniaczko, śpiochu, leniuchu, a do kościoła, do kościoła!

Wtem postać zmarłej matki zasłania Magdzię przed groźnym dzwonem, kładzie jej rękę na ramieniu i szepce:

— Magdziu, dziecko drogie, nie gub duszy swojej, idź do kościoła, nie obrażaj Pana Boga, bo i on kochać cię nie będzie!

Nareszcie zbudziła się Magdzia, ale sen swój pamiętała doskonale. Obejrzała się wystraszona dokoła, nic jednak widać nie było. Nie zbierała już rozrzuconych kwiatków, nie stroiła warkoczy, schwyciła tylko książeczkę i co tchu biedz zaczęła do kościoła.

Nabożeństwo już się prawie kończyło, więc zawstydzona uklękła w kąciku, nie śmiąc oczu podnieść do góry. Serce jej głośno pukało, a w myśli powtarzała: Boże, przebacz mi, Boże, przebacz mi!

Długo modliła się jeszcze i wyszła z kościoła ostatnia. Na boku, przed kościołem, stała gromadka gospodarzy; pomiędzy nimi dojrzała ojca. Podbiegła do niego i przytuliła się do jego ręki. Zaraz też potem wracali razem do domu.

Ten dziwny sen tak wpłynął na Magdzię, że już odtąd, nie zważając na niepogodę lub kurz i gorąco, w każde święto i niedzielę wraz z ojcem do domu Bożego dążyła zawsze.

SIERPIEŃ

Wesołą piosenką podnoszą się głosy,
Żniwiarze w takt ostrzą swe sierpy i kosy,
I śpiewką podnoszą do pracy ochotę;
Pod nogi im snopki padają jak złote.
Za nimi dziewczęta rumiane i hoże
Zgrabiają na kupki dojrzałe już zboże.
O, chmura przeciąga przez jasne wprzód nieba,
Hej, żwawo, do pracy, hej, spieszyć się trzeba,
Bo jakby na deszczu porosło nam zboże,
A broń że nas, Panie, głód byłby znów może.

Na przechadzce.

„Ach, niech mi powie kochana mama,
Co ja mam robić, nudzę się sama?“
„Spójrz, tam z daleka stoi dziewczynka,
Patrzy na ciebie, grzeczna jej minka,
Przywołam ją tu, bawcie się razem!“
Chmurzy się buzia dumnym wyrazem:
„Brzydko ubrana, buciki bure,
Bez kapelusza, w bluzce ma dziurę,

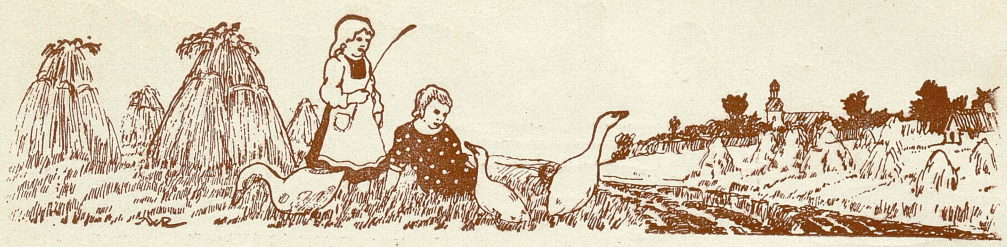

Takie ma brzydkie, stare sukienki,
Z nią się mam bawić? Nie, nie chcę ręki
Podawać takiej brzydkiej dziewczynie,
Niech już przechadzka na nudach minie."
„O, Luciu, Luciu, czyż przyszłość własna
Stoi przed tobą pewna i jasna?
Gdybyś nie miała tatki i mamy,
I na twych sukniach byłyby plamy.

Anioł Stróż i dziecię.

Anioł:

Ej, chłopczyku, do pustoty
Więcej jakoś masz ochoty
Niż do nauk w szkole.
Każde dzisiaj goni wczora,
Uczyć ci się, uczyć pora,
Czas rzucić swawole!

Chłopczyk:

Drogi Aniele,
Dni życia wiele,
Więc, pókim mały,
Milej w zabawie
Niźli na ławie
Spędzić dzień cały.

Anioł:

W tem przyszłości są nadzieje,
I w czas zbiera, kto w czas sieje
Złote wiedzy ziarno.
A tyś, dziecię, tyś z narodu,
Co pracować musi z młodu,
By nie pójść na marno!

Chłopczyk:

Ach, za przestrogę
Na życia drogę
Dziękczynień wiele
Przyjm, bo twe słowa
Pamięć zachowa
Wiecznie, Aniele.

Bociany.

Rok rocznie bocian z swą żoną na wiosnę do tej samej powracał wioski i z radością witał gniazdo swoje, wygodnie usłane na dachu stodoły. A więcej jeszcze cieszył się, gdy rodzina jego się powiększyła i gdy, czekając na pożywienie, wyciągały się ku niemu długie, czerwone dzióbki jego dzieci. Raz za razem wybiegał wtedy z gniazda na polowanie, aby dzieciom swym przynieść jaką smaczną żabkę.

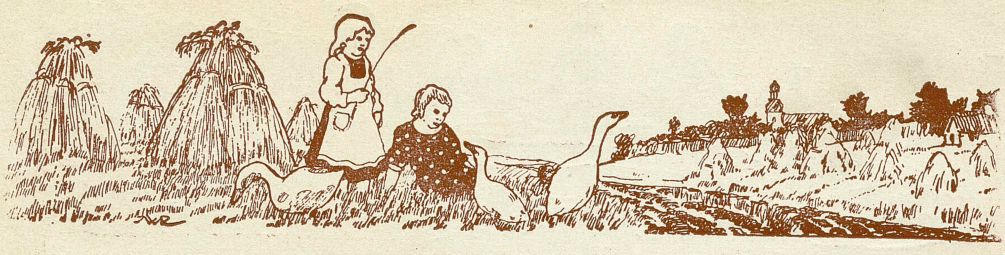

A wieleż to było uciechy, gdy wraz z żoną uczyli małe bocianiątka wznosić się do lotu, w powietrze. Małe niezdary nie umiały utrzymać równowagi i bęc, z powrotem w gniazdo spadały.
Ale rodzice pocieszali się, że nie prędko jeszcze wiatr zimny zadmucha, a nim lato dobiegnie do końca i w powrotną do ciepłych krain udadzą się drogę, dzieci ich nauczą się sztuki fruwania. Żyli więc tymczasem w spokoju i szczęściu. Był właśnie czas żniw, i ludzie wszyscy pracowali w polu, na podwórku bawiło się tylko kilkoro dzieci. Bocianiątka także same zostały w gnieździe, a rodzice ich udali się po żer, na łąkę.

Tymczasem jeden z chłopców, Jasiek, wynalazł gdzieś zapałki i nuż zabawiać się niemi. Pocierał jednę po drugiej, ciesząc się, że to się świeci. Aż nagle płomienie ogarnęły całe pudełeczko, parząc ręce Jasia. Prędko więc rzucił wszystko i z krzykiem uciekać zaczął. Od pudełka zapaliły się wiory i drzazgi, które leżały około stodoły, a w chwilę potem płonęła już i stodoła.

Biedne bocianiątka; — dym gryzł je w oczy, a krwawe, ogniste iskry przepalały im skrzydła. Daremnie jednak chciały wyfrunąć z gniazda, nie umiały.

Wraca bocian z swą żoną z łąki i oczom nie wierzą. Rzucają się oboje w płomienie, aby ratować dzieci, ale już za późno: bocianiątka już uduszone od dymu.

— Ratuj się, uciekaj — mówi żona do bociana, ja już zostanę tu, gdzie zginęły moje dzieci!

J. VARONIECKÍ
BOCIANY

— A cóż ja sam pocznę, odrzekł mąż, bez ciebie, bez dzieci i bez gniazda? Zginmy razem!

Zatrzeszczał dach, zatrząsł się i wraz z gniazdem i bocianami runął w płomienie. Nim nadbiegł z pola gospodarz z sąsiadami, już nie było co ratować. Została tylko kupa dopalających się gruzów.

Szczęście jeszcze, że nie było wiatru i ogień nie przeniósł się na drugie budynki, byłaby może cała wioska zgorzała.

Biedny Jasiek, płakał z bólu, bo oparzone ręce bardzo go bolały, a tu jeszcze ojciec obił go za to, że był sprawcą pożaru. Pewnie już Jasiek nigdy więcej zapałkami bawić się nie będzie, ale biedne bociany, ofiary jego igraszki!

Im już nikt życia nie przywróci.

Brudasek.

Pfe, jakież wielkie pazurki!
Jakby u dzikiego kotka,
Toż się zlęknie mojej córki,
Gdy ją nagle gdzie kto spotka!

Buzia brudem zawalana,
Czyś ty na wróble straszydło?
Chodź prędzej, moja kochana,
Tu nożyczki, woda, mydło.

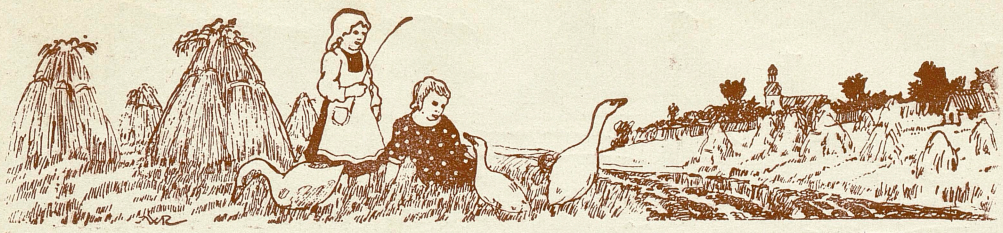

Patrz, starania tak nie wiele,
Jakże wygląd twój już inny,
Dusza czysta w czystem ciele
U dziecinki jest niewinnej.

Kto zaś w brudzie chodzić zacznie,
Ani sam nie pomiarkuje,
Jak grzeszyć zacznie niebacznie,
I grzechem duszę zatruje!

Tchórzliwa Mania.

Mania podszyta jest zającą skórką,
Mama się wcale nie cieszy swą córką,
Liczy lat kilka i wzrost jej dość duży,
Lecz do największych zalicza się tchórzy.
Zakrzywić palec, — ot, już jak z cytrynki,
Obficie płyną łzy z oczu dziewczynki;
Za nic w pokoju nie chce zostać sama,
Takie tchórzostwo, pfe, to brzydka plama,
Kiedy od Boga zwłaszcza nam to dano,
Że szczytne — Polek — piastujemy miano!

Na ulicy.

Było to latem w upalne popołudnie. Z jednej strony ulicy stały rzędem wysokie domy, jasno słońcem wyzłocone, druga strona zaś stanowiła latem schronienie dla dzieci.

Było tam dużo cienia od wielkich drzew i krzaków i stały rzędem poustawiane ławki. Przed jedną z nich zatrzymała się mama z swoim synkiem, Stefankiem. Stefanek miał jednę nóżkę krótszą i z wielkim trudem chodził o kuli. Usiadł obok swej mamy i wyjął z kieszonki gazetkę z wierszykami i powiastkami dla dzieci.

— Poczytam, to mamusi prędzej pójdzie robota, dobrze, mamusiu?

— Dobrze, mój synku!

Ale zaledwie Stefanek czytać zaczął, z domu na przeciwko wybiegła z hałasem gromadka dzieci.

Po chwili gwarno już było jak w ulu około ławki Stefanka. Młodsze dzieci zaczęły się bawić piaskiem, starsze biegały i rzucały piłkę; nie obyło się przy tem bez różnych brzydkich słów i kłótni.

Dosyć długo trwała ta zabawa, wreszcie przypomniały im się nieodrobione szkólne zadania.

— Zosiu — prosiła młodsza dziewczynka starszą siostrę — daj mi fenyg, muszę nowy leszblat kupić.

— A mnie gdzieś szwamka zginęła — wołał mały chłopiec.

— Nie zawracajcie mi głowy, powiedzcie tacie, ja też federhaltra nie mam i dobrze — zawołała najstarsza Zosia.

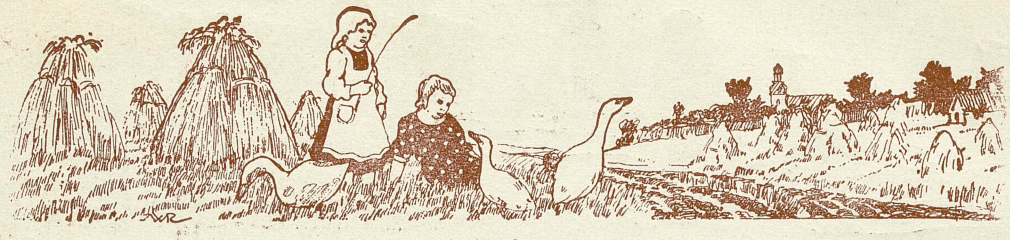

Stefcio ze zdziwieniem przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Mamusiu — szepnął cichutko, czemu oni tak mówią, to przecież źle i nieładnie. Z trudem zesunął się Stefcio z ławki i przybliżył się do gromadki dzieci.

— Mam tu pięć fenygów, chciałem sobie kupić owoców, ale jeśli nie masz bibuły, to weź pieniądze i kup, co ci potrzeba. Żałuję, że nie mam więcej, bo na gąbkę i trzonek już nie wystarczy.

Mała dziewczynka szeroko otworzyła oczy: — Co to jest bibuła, co to jest gąbka i trzonek?

— Tak się właśnie mówi po polsku na to, co wy nazywacie leszblatt, szwamka i federhalter. O, wy dużo, dużo słów przekręcacie i nawet brzydkie słowa mówicie; czy wy nigdy nic nie czytacie?

Najstarsza Zosia rozśmiała się.

— Przecież te małe wcale się jeszcze po polsku nie uczą, ja trochę umiałam, ale już zapomniałam.

Stefanek wyjął z kieszonki gazetkę.

— Masz, tu są różne powiastki i wierszyki, przeczytaj to głośno tym małym, a na przyszły tydzień znowu ci nowy numer przyniosę.

Od tego czasu Stefanek codziennie chodził odetchnąć świeżem powietrzem i siadywał na znanej sobie ławeczce.

Po kilku tygodniach znajomość jego z dziećmi zamieniła się w serdeczną przyjaźń. Dobre dzieci nie śmiały się z biednego kaleki, Stefanka, a on opowiadał im dużo ciekawych rzeczy i czytywał im gazetkę.

Prosił je też tak serdecznie, aby starały się lepiej mówić, że dzieci, nie chcąc mu robić przykrości, same, jak tylko mogły, czuwały nad swoimi języczkami.

I tak w krótkim czasie przestały usta ich szpecić różne poprzekręcane wyrazy i brzydkie kłótnie i wyzwiska.

Zagadki historyczne.

I.

Przed laty, laty, przed wieki, wieki,
Była władczyni cudnej urody.
Przyjechał rycerz z strony dalekiej
Prosić o rękę dziewicy młodej.
Lecz ona sercem obcego gardzi,
I cudzoziemca nie chce za męża.
Mszcząc się więc za to, wrogowie hardzi
Wnet wydobyli z pochwy oręża.
Ach, wspomnij, powiedz, dziecię kochane,
Imię tej Polki, młodej dziewicy,
I w jakiej rzeki fale wezbrane
Wskoczyła w ciężkiej serca tęsknicy.

II.

Które z was, miłe dziatki, mi powie,
W którym to roku prapradziadowie,
Zrzuciwszy w gruzy bożki swe stare,
Wraz z chrztem przyjęli prawdziwą wiarę?
Do góry głowy, hejże, dziewczęta,
Czy też z was która wie i pamięta
Imię tej księżny, która dzielnicę
Swą opuściła, by tajemnicę
Świętej swej wiary wszczepić nam w duszę?
Teraz was, chłopcy, zapytać muszę,
Jak książe, mąż jej, był nazywany?
Myśl i odpowiedz, chłopcze kochany!

III.

Której królowej to zawdzięczamy,
Że dziś do potraw przyprawę mamy,
Co to się solą powszechnie zowie?
Jak się zwał mąż jej, król, co panował?
Jak miejsce, gdzie lud sól tę znajdował?
Któreż z was, dziatki, na to odpowie?

IV.

Szedł w obce strony, między pogany,
Naukę Bożą szerzyć po świecie
Czy wiesz, kto to był, chłopcze kochany,
Czy wszystkie dziatki wy o tem wiecie,
Że padł zabity na obcej ziemi?
Na wagę złota król kupił ciało,
By nie spoczęło między obcemi,
A pamięć Jego okryta chwałą!
On jest nasz Patron i wielki święty;
Grzech, gdy imienia Jego kto nie zna.
Idź, klęknij, módl się, skruchą przejęty,
U grobu Jego, w katedrze Gniezna!

WRZESIEŃ

Same lecą do fartuszka
Śliwki, gruszki i jabłuszka,
Takie dobre, doskonałe,
Różne, duże, mniejsze, małe.
Ale szkoda, że wraz z niemi
Spada, żółcąc się po ziemi,
Listek, przedtem taki świeży;
Rzesza ptaszków też odbieży
Od nas wkrótce, by za morzem
Znów się cieszyć słonkiem Bożem.
Już zbierają się na wiece;
Ja za nimi nie polecę,
Bo choć pięknie jest tam, w świecie,
To wśród swoich milej przecie.

Trzy rady.

Chcesz się czemś zająć, spytaj wprzód siebie,
Czy tem ucieszysz Boga tam w niebie.
Chcesz o kimś mówić, pomyśl wpierw, dziatwo,
Że słowo wyszłe nie wraca łatwo,

Czy niem nie skrzywdzisz kogo na świecie,
Myśl, nim je rzekniesz, drogie me dziecię!
Chcesz krok postawić na życia torze,
Proś — pobłogosław mi, dobry Boże!

Mała gosposia.

Mania na krótkie sukienki
Długi włożyła fartuszek,
I nie żałując swej ręki,
Sama przystawia garnuszek;
Chociaż taka jeszcze mała,
Sama obiad zgotowała.

Roznieciła ogień sama,
Poprzystawiała rondelki,
Upiekła mięso jak mama
I wstawiła kartofelki,
Bo mamusia już od wczora
W łóżku leży bardzo chora.

A tu rodzeństwo jeść woła,
Mamę też wzmocnić czemś musi;
Czy ojcu dogodzić zdoła,
To wielki kłopot Maniusi,
Ale jednak, może, może,
Bo wszak chętnym Bóg pomoże!

Co tobie nie miłe, nie czyń drugiemu!

— Boję się, że głód zajrzy do naszej chaty, mówił ojciec, gdy po nabożeństwie w niedzielę obszedł swoje zagony i na obiad do domu przyszedł.

— Taka susza, kartofle na nic się spaliły; kapusty tak mało, a co jest, to liszki objedzą, liście niemi jak oblepione.

Smutek osiadł na twarzy matki, a dzieci ze strachem na siebie spojrzały.

Po obiedzie ojciec do snu się ułożył, a matka statki pomywać zaczęła. Marcinek i Bronka wysunęli się z izby. Poszli zobaczyć wysuszone zagony. Grube i śliskie liszki czołgały się i wiły na podziurawionych liściach kapusty.

— Bronka, zawołał Marcinek, masz tu liść, poszukaj sobie patyczka, zbieraj nim i wrzucaj na listek te liszki. Musimy z tem się pospieszyć. A, obrzydliwe liszki, ogłodzić by nas chciały. Ale i tak żal mi je zabijać, przeniesiemy je na kapustę sąsiada!

Robota szła szybko i nie długo dzieci zapełniły swoje liście brzydkiemi liszkami. Rozglądając się, czy kto ich nie widzi, przejść właśnie chciały przez nizki płotek do ogrodu sąsiada, ażeby tam, na jego kapustę zrzucić zebrane liszki.

W tej chwili nadeszła matka.

— Co wy tam robicie? zawołała.

A gdy dzieci jej swe zajęcie objaśniły, odparła:

A czyż to nie wiecie, że, co tobie nie miłe, nie czyń drugiemu? Jakże można sąsiada tak krzywdzić! Grzechem jest bez potrzeby znęcać się nad robakiem i zabijać go, ale gdy on niszczy nam nasz dobytek, to można usunąć go bez obrazy Boskiej. Nie w ten jednak sposób, jak wy chcieliście. Przynieś no, Marcinek, wiadro wody, zaraz utopimy je tutaj. Tak, widzisz, Bronka, kończyła matka, wszystko z zastanowieniem robić trzeba, ażeby bliźnim krzywdy nie uczynić, spamiętaj to sobie na zawsze!

Zosia z mamą u piekarza.

„Kup dla Zosinki, mamo, ciasteczko!“
Prosi nieśmiało dziewczynka blada.
„Mnie na chleb ledwie starczy, córeczko,
Musisz się obejść, to trudna rada!“
Westchnęła Zosia, łyknęła ślinki,
Wtem obca pani ciastko jej dała.
O, jakaż radość była dziewczynki,
Jak ślicznie pani podziękowała.

Łakoma myszka.

Jedna mała myszka tłusta
Wcale nie złe miała gusta,
Bo lubiła z ciast kruszynki,

Nadewszystko zaś słoninki.
Wynajęła więc mieszkanie
W dużej dziurze — choć nie tanie,
Lecz w śpiżarni pod podłogą.
„Dobre rzeczy tam stać mogą!“
Tak myślała. — Krytym gankiem
Sprowadzają się porankiem
I chowają się do dziury:
Mama, synkowie i córy.
Idzie mama na wywiady,
Nosek ma nie od parady,
Więc poczuła kąski smaczne.
„Tutaj od słoninki zacznę!“
Tak myślała — skubła trochę,
Ach, jakież te myszki płoche!
Tak się tutaj złakomiła,
Teraz łapka ją schwyciła.
Siedzi w łapce myszek matka,
Będzie to dla kota gratka,
Małe myszki w strasznej męce
W kociej zginą też paszczęce!

Psotny Jaś.

Biega Jaś z hałasem, krzykiem
I wykręca swym biczykiem,
Niby to popędza konie,
Co hasają hen, przez błonie.
Lecz w pokoju, dziecię hoże,
Tak cwałować nikt nie może.
Jaś wyciąga bat z zamachem,
Nagle zbladł, przejęty strachem.
„Bęc“, bacikiem zaczepiony,
Spadł dzbanuszek potłuczony.
Janek piąstką łzy ociera
I skorupki z ziemi zbiera
I sam siebie myślą krzepi:
„Może się to jeszcze zlepi!“
Ach, mój Boże, znowu biada,
Próżny kłopot, trudna rada,
Już mą winę wyznam mamie,
Dwakroć grzeszy ten, co kłamie.
Poszedł. — Mama ściska Janka,
Mówiąc: „Chociaż żal mi dzbanka,
Lecz w tem wielką mam osłodę,

Że Januszka serce młode
Już się grzechem kłamstwa brzydzi,
Wiedząc, że Bóg wszystko widzi!

List Kazia do Józia.

Drogi mój Józiu!

Przepraszam Cię, że dziś dopiero odpisuję na Twój list, otrzymany przed wakacyami. Wujostwu całuję rączki i Ciebie ściskam serdecznie, dziękując za zaproszenie Wasze. Byłbym z niego korzystał i z pewnością byłoby mi u Was, na wsi, bardzo wesoło i dobrze, ale rzeczy inaczej się złożyły. Spędziłem wakacye w Krakowie, z wielką dla siebie korzyścią. Ale opiszę Ci szczegółowo, jak się to stało i wszystko, co tam widziałem.

Kilka dni przed rozpoczęciem wakacyi przyszła do wujostwa, moich opiekunów, ciocia Józia z wiadomością bardzo dla mnie wesołą.

— Kaziu, zapytała mnie zaraz na wstępie, czy chciałbyś jechać do Krakowa?

— Czy ja bym chciał, ciociu, odpowiedziałem, z pewnością, ale to przecież niemożliwe, podróż taka kosztowna.

Ciocia uśmiechnęła się tylko i, zwracając się do wujostwa, rzekła: Profesor Jordan z Krakowa prosił kuzyna Bronisława o wybranie z pomiędzy młodzieży kilkunastu wzorowo prowadzących się chłopców

i wysłanie ich do Krakowa. Chce im profesor Jordan, człowiek zamożny i wielki dobroczyńca, ułatwić sposobność poznania kolebki naszego narodu i wszystkich historycznych pamiątek. Czy życzycie sobie, aby Kazio został załączony do ich grona?

Możesz sobie wyobrazić, drogi Józiu, jaką radością zadrgało mi serce, skoro wujostwo rzekli, że nie mają nic przeciw temu. W kilka dni potem rozpoczęły się wakacye. Ciocia Józia zawiadomiła wujostwo, że czas wyjazdu już naznaczony i zaraz następnego dnia o godzinie szóstej byłem już na dworcu.

Czekało tam już kilkunastu chłopców starszych odemnie i kilku równego ze mną wieku, był także już wuj Bronisław. Pociąg już zajechał, więc szybko wsiedliśmy do dużego, wspólnego wagonu. Prawie każdy z nas miał przygotowaną paczkę z posiłkiem na drogę, a że wielu z nas wyjechało z domu na czczo, więc zaraz wzięliśmy się do śniadania.

Częstowaliśmy się nawzajem naszemi przysmakami i znajomość prędko zawartą została. Powiadam ci, Józiu, bardzo było wesoło, bo wuj Bronisław, jak gdyby nasz rówiennik rozmawiał z nami przyjaźnie i żarty sypały się jak z rękawa. Moi współtowarzysze pochodzili z różnych stron. Dwóch z nich zamieszkuje w Gdańsku i prawie nawet mówić po polsku dobrze nie umieli.

Wśród ożywionej gawędki czas szybko nam schodził i wkrótce dojechaliśmy do Katowic, gdzie trzeba się było przesiadać. Ruch na tej stacyi ogromny, bo pociągi na wszystkie rozchodzą się strony,

to też wuj Bronisław przestrzegał nas, abyśmy się pilnowali i nie zagubili wśród tłoku.

Niestety, jeden z młodszych chłopców nie uważał i zginął. Wszyscy już byliśmy razem zgromadzeni i umieszczeni w pociągu, udającym się do Krakowa, a tu, imiennika mego, Kazia z Gdańska, jak nie ma, tak nie ma. Nasz pociąg już miał ruszyć, i wuj bardzo był niespokojny, bo trzeci dzwonek dał już znak odjazdu, gdy nareszcie przybiegł konduktor a za nim wylękniony Kazio. Co byłby począł biedak w obcem miejscu z kilku trojakami w kieszeni?

Znów na wesołej rozmowie czas szybko nam schodził i wkrótce stanęliśmy na granicy austryackiej w Oświęcimiu. Szybko przejrzeli urzędnicy nasze skromne kufereczki i pojechaliśmy dalej. Z radości, że już się zbliżamy do celu naszej podróży, zaczęliśmy głośno i śmiało śpiewać narodowe nasze pieśni, tylko biedni chłopcy z Gdańska nam nie wtórzyli, bo pieśni tych nie znali.

Jeszcze kilka stacyi, aż pociąg, pędząc coraz szybciej, stanął nagle, a konduktorzy, otwierając drzwi wagonów, głośno wołali po polsku:

— Kraków, Kraków!

Ach, drogi Józku, gdybyś wiedział, jak radośnie zapukało mi serce, jak wiele sama nazwa drogiego miasta ma dla nas wspomnień i znaczenia!

Wuj umieścił nas w kilku dorożkach, sam wsiadł z nami, najmłodszymi i pojechaliśmy przedstawić się p. profesorowi Jordanowi.

Zacny ten człowiek zanadto jest zajęty różnemi ważnemi sprawami, aby sam mógł podołać wszystkiemu. Rozdzielono nas więc na dwa oddziały, starszych i młodszych, i przeznaczono do wyłącznej nad nami opieki dwóch panów, także profesorów. Starsi pod wodzą swego profesora mieli wyruszyć dalej, zwiedzić odleglejsze okolice i góry, nasze kochane Tatry. Nas, dziesięciu, umieszczono w domku zbudowanym w ogrodzie imienia profesora Jordana, który ten dobroczyńca urządził dla uboższych dzieci miasta Krakowa, aby na świeżem powietrzu swobodnie bawić się mogły. Zmęczeni podróżą i wrażeniami, posiliwszy się, zabraliśmy się do spoczynku.

Pokój, w którym nas umieszczono, był bardzo wielki. Pod ścianami, rzędem, stało po pięć łóżek czysto zasłanych. Zmówiliśmy pacierz, rzuciliśmy się na posłanie i po chwili już sen skleił nam powieki.

Nazajutrz rano przyszedł wujek, aby przed wyjazdem pożegnać się ze mną.

Chociaż wstyd mnie trochę, ale przyznam Ci się Józiu, że strach mnie ogarnął, gdym pomyślał, żem ja taki zupełny sierota, że sam, daleko od krewnych, mam tu pozostać, i że Wujek już odjeżdża. Walczyłem z łzami, które już, już chciały mi z oczu popłynąć; zobaczył to wuj, serdecznie mnie do siebie przygarnął, a potem tak gorąco polecał mnie profesorowi Z., że to mnie już zupełnie uspokoiło. No, i zaczęło się nowe przyjemne życie. Budzono nas już o szóstej rano, po śniadaniu wybiegaliśmy zaraz do ogrodu, gdzie

na gonitwach i różnych grach gimnastycznych spędziliśmy jakąś godzinę. Następnie wołał nas profesor Z. na lekcyą. O, jak nam żal było i wstyd, że my, Polacy, tak mało znamy nasz piękny język.

Ale dobry p. Z. bardzo był wyrozumiały i z wielką cierpliwością wykładał nam dzieje Polski, opisywał jej okolice i opowiadał o wielkich pisarzach i poetach naszych, następnie pisaliśmy dyktanda i wypracowania. Po wczesnym obiedzie wychodziliśmy zwykle zwiedzać dawne zabytki sławnej naszej przeszłości, następnie jeszcze przechadzka i podwieczorek gdzieś za miastem i znużeni wracaliśmy na wieczerzę, po której, zmówiwszy pacierz, twardym snem zasypialiśmy smacznie.

Tak dużo wspomnień i wrażeń ciśnie mi się do głowy, że nawet nie wiem, co wprzód Ci opowiedzieć, a dodać jeszcze muszę, że nie wszystko, co jest godnem widzenia, zdążyliśmy obejrzeć.

Więc najprzód zaprowadził nas p. profesor do katedry. Po wysłuchaniu Mszy św. oprowadzał nas po niej, szczegółowo tłomacząc wszystko. Została ona zbudowaną podobno już za Mieczysława I, 965 roku. Następnie przebudowano ją kilka razy. W wieży wisi wielki dzwon, Zygmuntem zwany, od imienia króla Zygmunta, który go ofiarował katedrze. Dawniej głos jego dźwięczał daleko i głosił narodowi radosne lub smutne zdarzenia. Katedra krakowska pamiętna jest z koronacyi królów naszych, w jej podziemiach też pochowano ciała wielu z nich. Między innymi spoczywa tam król Łokietek, Kazimierz Wielki, Królem Kmiotków zwany, królowa Jadwiga i jej

małżonek Władysław Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk, Jan Olbracht, Zygmunt i wielu, wielu innych sławnych wodzów i mężów, a wśród nich nasz poeta Adam Mickiewicz. Dumni z tego, że jesteśmy potomkami tak sławnego narodu, wyszliśmy z katedry.

Pokazał nam także p. Z. dawny zamek królewski, również na górze wawelskiej zbudowany. Ogromny to i wspaniały gmach. Przez długie lata kwaterowało w nim wojsko austryackie, aż nareszcie za uzbierane przez naród grosze został odkupiony i teraz go odnawiają.

Kiedy indziej znów poszliśmy zobaczyć Sukiennice, wystawione przez Kazimierza Wielkiego. Jest to także wielki budynek, a w nim urządzone składy, w których wszystkiego dostać można, ja także kupiłem tam parę skromnych upominków, z których i dla Ciebie, Józiu, coś przeznaczyłem; jak na następne wakacye do Was przyjadę, to Ci przywiozę moją pamiątkę. Sukiennice znajdują się na środku rynku. Tam także pokazał nam p. Z. wśród innych kamieni w bruku jeden z datą 24 marca 1794 roku. W tem miejscu podobno stał Kościuszko, wykonując przysięgę w obec narodu.

Widzieliśmy także Akademię Krakowską, w roku 1364 przez Kazimierza Wielkiego założoną. Później ona podupadła i dopiero królowa Jadwiga i król Jagiełło wznowili ją i na ich pamiątkę odtąd Wszechnicą Jagiellońską się zowie. Od tego czasu wiele, wiele tysięcy Polaków kształciło się tam i kształci na zacnych i uczonych ludzi.

Ach, gdybyśmy tam także kształcić się mogli; prawda, Józiu? bo wszakże to wiele łatwiej i milej uczyć się w swoim języku.

Byliśmy także w kościele na Skałce, gdzie król Bolesław II, dzielny zresztą i waleczny wojownik, splamił się okropnym czynem, zabijając dnia 8 maja 1079 roku św. Stanisława, którego w roku 1252 Papież Inocenty IV uznał za świętego i nadał nam, Polakom, za patrona.

Zaprowadził nas też p. profesor do kościoła uniwersyteckiego św. Anny. Jest tam grobowiec św. Jana Kantego i pomniki naszego poety Słowackiego i uczonego duchownego Kopernika, który to pierwszy uczył, że nie słońce około ziemi, lecz przeciwnie ziemia około słońca się obraca.

Prócz tego zwiedziliśmy jeszcze wiele innych kościołów. Nie pamiętam już dokładnie wszystkich objaśnień p. profesora, ale nazwy tych świątyń w pamięci mi zostały. Więc kościół Najświętszej Maryi Panny, kościół św. Andrzeja, mały kościółek św. Idziego, kościół św. Krzyża, kościół św. Piotra, gdzie spoczywa Skarga, słynny kaznodzieja, i jeszcze inne kościoły i klasztory żeńskie i męskie.

Zwiedziliśmy także Pałac Sztuki, gdzie nam pokazywano różne śliczne obrazy i rzeźby, ale ja się na tem wcale nie znam i o wiele więcej zajmowały mnie wycieczki.

List mój już bardzo jest długi, chcę jednak jeszcze chociaż w krótkości opisać Ci, Józiu, okolice Krakowa.

Cudne są Bielany, wieś nad Wisłą położona. Tam na górze, Srebrną nazwanej, jest kościół i klasztor OO. Kamedułów i śliczny ztamtąd jest widok na cały Kraków i jego okolice.

Serdecznie wzruszeni udaliśmy się jednego popołudnia na mogiłę Kościuszki, rękami ludu wysoko usypaną. U stóp tego kopca znajduje się kapliczka błogosławionej Bronisławy.

Na mogiłach Wandy i ojca jej Krakusa byliśmy także. I te mogiły były usypane rękami przywiązanego do swych wodzów ludu.

Wiem naturalnie, drogi Józku, że legendy o nich dobrze Ci są znane, ale tyle mam w nich upodobania, że nie mogę sobie odmówić przyjemności przytoczenia ich w mym liście.

Krakus, władzca swego ludu, założył miasto Kraków i zabił wielkiego smoka pod górą Wawel ukrytego, który ludzi i zwierzęta pożerał. Gdy po jego śmierci Wanda panowała, chciał ją pojąć za małżonkę cudzoziemiec Rytygierz. Odrzuciła go Wanda, nie chcąc, aby obcy jej ludem rządził; wtedy on, mszcząc się, wraz z wojskiem swem przyszedł pod Kraków. Zwyciężyło go Wandy wojsko, ale ona, nie chcąc, by przez jej piękność lud napaści cierpiał, wskoczyła do Wisły. Była ona poganką, więc nie wiedziała, że grzechem jest pozbawić się samemu życia. Uczyniła to z miłości do narodu, która dzięki Bogu i w sercach dzisiejszych Polek tak gorąco płonie.

Raz wybraliśmy się na tak zwane Panieńskie Skały. Są to śliczne skaliste wzgórza, pokryte lasem. Tam w chłodzie i cieniu wielkich drzew spożyliśmy zabrany z sobą podwieczorek i spędziliśmy przyjemnie kilka godzin wśród przechadzki.

Byliśmy także w Twoszowicach, gdzie są kopalnie siarki, które nam pokazywano, udzielając objaśnień i nareszcie zwiedziliśmy Wieliczkę,

gdzie sól wydobywają. Tam mi się najwięcej podobało. Zeszliśmy na dół, głęboko pod ziemię i zdawało mi się, że jestem w jakimś z bajki zaczarowanym pałacu, tak te ściany w soli wykute mieniły się i błyszczały przy blasku pochodni. Aż pięć piętr w dół kopalni się wchodzi, ale my na sam dół nie zeszliśmy.

Na jednem z piętr jest sadzawka słonej wody i kaplica królowej św. Kunegundy, żony Bolesława Wstydliwego, a córki króla węgierskiego Beli. Jej to naród polski sól zawdzięcza, bo z Węgier sprowadziła robotników, którzy we wskazanem miejscu kopiąc, sól znaleźli.

Tak to, widzisz Józiu, na zwiedzaniu, nauce i zabawie dzień za dniem szybko nam schodził, aż czas wyjazdu się zbliżył.

Z wdzięcznością dla naszych dobroczyńców żegnaliśmy ich i z żalem opuszczaliśmy stary gród, wsławiony wielkimi czynami przeszłości.

Ileż tam skorzystaliśmy! Umysł nam się rozjaśnił, poznaliśmy, czem jesteśmy i czem być powinniśmy! Nawet Jaś i Kazio z Gdańska, z którymi się bardzo zaprzyjaźniłem, nieźle już mówią po polsku. Ach, gdyby co rok tak spędzić wakacye!

Ale już dosyć, bo może zniecierpliwisz się takim długim listem i nie doczytasz go do końca. A chcę Cię jeszcze spytać, jak Ci idą nauki, i czy spodziewasz się dobrego świadectwa? Życzę Ci go z całego serca.

A wtenczas z lekkiem sumieniem będziemy w pełni używać przyjemności wsi.

Pisząc do domu, ucałuj rączki Twych Rodziców, Ciebie całuję serdecznie

Twój

Kazio.

PAŹDZIERNIK

Cudna nasza jesień złota,
W sercu rośnie znów ochota,
Bo też mamy teraz za to
Po minionem — babie lato.
Chodźcie spojrzeć, nie wierzycie?
Snują się bielutkie nicie,
I słoneczko tak przygrzewa,
Że aż ptaszek znowu śpiewa.
W polu także ruch jest wielki,
Wybierają kartofelki
Pochyleni i w pół zgięci,
Niech im Pan Bóg plon ich święci!

Do Matki Boskiej Różańcowej.

O, Mateczko, co wysoko
W niebieskiej królujesz chwale,
Gdzie nie dojrzy Ciebie oko!
Sunąc różańca korale,
Z wiarą, co się w sercu nieci,
Głos do Ciebie wznoszą dzieci;

DO MATKI BOSKIEJ RÓŻAŃCOWEJ

„Zdrowaś Marya,“ brzmi z ufnością,
„Łaskiś pełna, Pan jest z Tobą,
Ubłogosław nas miłością
I serc nie kryj nam żałobą,
Świętaś między niewiastami,
Wstaw się, Matko, wstaw za nami!

Ześlij z nieba nam Anioła,
On pacierze w wieniec zwije,
W niebo wzniesie i zawoła:
Dzieci wieńczą swą Maryę!
A Ty, Matko, wyjrzysz z nieba
I dasz wszystko, co nam trzeba.“

Dzieci w szkółce.

Paluszki na buzi,
Cichutko, cichutko,
Wszak wyście dość duzi,
By milczeć, choć krótko!

Na buzi paluszki,
Hej, cicho, sza, dzieci,
Nie tupcie, wy nóżki,
Niech w oczkach myśl świeci!

Ja bajki ciekawe
Dziś chcę wam powiedzieć;
Któż wszedł tam pod ławę?
A cicho, a siedzieć!

Hej, dziatki, nicponie,
Sza, cicho, czas krótki,
Bo zwiążę wam dłonie,
Na buzie dam kłódki!

Już cisza wokoło?
No, dobrze dziateczki,
Więc w górę wzrok, czoło,
Opowiem bajeczki.

Rozmowa ze stryjkiem.

A, be, ce,
Chleba chcę,
Ale wiedzieć mi się godzi,
Z czego to się chlebek rodzi?

Tak, podskakując dokoła stołu, śpiewał Renio. Stryjek siedział przy stole i czytał gazetę.

— A czy ty nie wiesz, z czego jest chlebek? — zapytał stryjek.

Wituś, mały przyjaciel Renia, pierwszy pospieszył z odpowiedzią:

— Ja wiem, proszę stryjka, chlebek jest z mąki!

— No, a mąka z czego? — pytał znów stryjek.

Mąka, mąka? ej, nie wiem — zawołał Renio, to niech nam to stryjek opowie!

— Hm, dobrze, ale uszy do góry i uważajcie chłopcy, abyście co opowiem nie zapomnieli.

— Gdy na wsi skończą się żniwa, znów nowa dla rolników rozpoczyna się praca. Jedni kopią kartofle i buraki, drudzy orzą ziemię i szykują ją do przyjęcia nowego ziarna. Pachnie świeżo zorana ziemia, idzie rolnik zagonem, na lewo i prawo rzuca w ziemię ziarenka.

— Szczęść Boże! — mówi przechodzący drogą człowiek.

— Bóg zapłać! — odpowiada rolnik i dalej sieje ziarenka. Potem znów ziemię przyorze i śpią w niej ziarenka przez całą długą zimę. Z początku ogromnie im tam jest smutno, ciemno i ciasno; takie się czują słabe, malutkie i przyduszone wielkim ciężarem ziemi.

Ale powoli przyzwyczajają się, wciągają w siebie soki ziemi i coraz więcej pęcznieją i sił nabywają. Już teraz ciężar ziemi tak im nie dokucza. O własnej mocy przebijają się przez nią, i jedno ziarenko po drugiem zaczyna wypuszczać malutkie kiełki. Już ziarenka wystrzeliły kiełkami po nad powierzchnią ziemi.

Ach, jak ślicznie na świecie! — cieszą się. — Niebo takie błękitne, słonko przygrzewa, skowronek nuci, ciepły wietrzyk powiewa, spieszmy się, abyśmy prędzej dorosły; wiosna już, wiosna!

I coraz wyższymi kiełkami wyrastają z ziemi ziarenka, strzelają prosto w górę, a na wierzchu łodyżki wznosi się już zawiązek kłoska.

Już sporo podrosła pszeniczka i żyto, ich barwa świeża, zielona. Czas zmienny jest jeszcze i chłodny. Często deszcz tak zmoczy zboże, że aż się chyli pod ciężarem kropelek wody, to znów wiatr ostry gnie je aż do ziemi. Ale niechno tylko słoneczko zaświeci, wnet wodę wypije i zboże pod wpływem ciepła znów w górę się wznosi.

A słońce już coraz mocniej dopieka, zboże zda się, kąpie się w cieple jego promieni. Zmienia też wkrótce barwę zieloną na żółtą, a niedługo już potem błyszczy się w słońcu jak szczere złoto.

Wśród tego złota błękitnieje gdzieniegdzie modrak, albo mak się czerwieni, a pełne ziarn kłosy za najmniejszym powiewem wiatru chylą się i kłaniają nizko.

Skowronek woła na ludzi:

— Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć!

Przychodzą żniwiarze, ostrzą kosy i w imię Boże pracę rozpoczynają. Zżęte zboże pokotem pada na ziemię. Idą kobiety i dziewczęta i roztrząsają zboże, ażeby prędzej wyschło. Dźwięczą kosy, czasem i piosenka zadźwięczy — dana, oj, dana! — wesoło śpiewają.

Czasem z piskiem ucieka ze zboża spłoszone ptastwo.

Gdy po kilku dniach dobrze już żyto przeschnie, związują je w snopki, a potem na wielkich, drabiniastych wozach zwożą je do stodół.

Wielką parową maszyną, albo też cepami zboże wymłócą, słomę w stodole chowają lub stogi z niej w polu stawiają; przyda się ona bardzo w gospodarstwie. Zboże zaś wymłócone sypie gospodarz we worki i zawozi młynarzowi. Gdy silny wiatr dmie, szybko się śmigi wiatraka obracają i młynarz prędko zmiele ziarnka na mąkę, którą potem kupują piekarze i chleb z niej wypiekają. Widzicie teraz, wielu to ludzi ciężko napracować się musi, nim piekarz wyjmie z pieca już upieczony chleb.

A teraz chłopcy, skoro już wiecie, z czego to chlebek się rodzi, rozumiecie także, jak trzeba go szanować. Nie godzi się chleba rzucać na ziemię, bo to dar Boży. Trzeba też być bardzo pilnym i pracowitym, żeby jak najprędzej samemu sobie na kawałek chleba zarobić.

— Będziemy zawsze pilni w nauce, aby nauczyć się pracować i chleba darmo nie jeść — zawołali chłopcy.

W tej chwili mama Renia podała chłopczykom podwieczorek.

Pospieszcie się — odezwał się stryjek — słońce pogodnie świeci, więc skoro się pożywicie, pójdziemy na przechadzkę za miasto, aby się przyjrzeć robocie w polu i szybkiemu kopaniu kartofli, w którem często dzieci nie większe od was starszym już pomoc niosą.

— Ach, dobrze, stryjku, dobrze, radośnie zawołali chłopcy, a chlebek, którego wartość poznali z opowiadania stryjka, tak im smakował dzisiaj, jak nigdy jeszcze.

Jurcio.

„Żebym ja zamiast Jurciem, tatuńciu,
był Tadziem raczej!“
„Jakto, mój synku, powiedz mi, proszę,
cóż to znów znaczy?“
„Za wzór Józinek księcia Józefa
obiera sobie,
Który to spoczął, jak tatuś mówił,
w walecznych grobie.
I mówi Józio, że wrogów Polski
jak on bić będzie;
Siedząc na koniu, wojsko powiedzie
sam, w pierwszym rzędzie.
Przy dźwiękach trąby, bębna, świstawki,
różnej muzyki,
Jak jeźdzcy dzielne w takt pójdą rączo
piękne koniki.
Sztandar mieć będą, na którym polski
jest orzeł biały...
Tak zawsze, tatku, mówi Józinek,
choć on tak mały.
Ja starszy jestem. a nie mam wzoru,
więc wstyd mi przecie,

Bo czem przysłużę się naszej Polsce,
co zdziałam w świecie?
Gdybym ja imię zamiast Jerzyka
miał Tadeusza,
To by się może zbudziła we mnie
ta dzielna dusza...
I ja bym poszedł na pole walki,
wiodąc zastępy,
Na karkach wrogów mocno bym ostrzył
mieczyk swój tępy;
A ludu za mną — tysiąc tysięcy,
białe sukmany,
Aż bym uwolnił od wrogów wszelkich
nasz kraj kochany.
Przy brzęku kosy i huku armat
śpiewałbym szczerze,
Do Boga wznosząc za naszą wolność
głośne pacierze...
Cóż, kiedy zamiast być Tadeuszem
ja Jurciem jestem —
I tak broń każda dziwnie mnie straszy
swoim szelestem.
Pewnie, tatuńciu, ze mnie już wojak
nie będzie wielki,

Bo takim żalem widok przejmuje
mnie krwi kropelki!“
„Mój synku drogi, ucisz swe skargi;
by być Polakiem,
Znów nie koniecznie trzeba być zawsze
dzielnym wojakiem,
My, uciśnieni, myśleć nie możem
teraz o wojnie,
Ojczyźnie spłacisz swoją powinność,
ucząc się znojnie,
Pracując pilnie, zyskując wiedzę
z szczerym zapałem,
Będziesz mógł walki wieźć i wygrywać
ze światem całym!
Wielki był człowiek i wojak dzielny
sławny Kościuszko,
Chociaż nie Tadzio, ma i mój synek
dobre serduszko,
I jestem pewny, przy szczerej chęci
mój Jurek mały,
Pewnie w przyszłości Ojczyźnie naszej
przysporzy chwały.
Więc ucz się, Jurciu, bo dziś nauka
naszą jest bronią,

I nią w przyszłości wrogów zwalczymy
lepiej niż dłonią!“
„Drogi tatuńciu, jakżeś mnie słowem
swojem ucieszył,
By nieść Ojczyźnie pomoc, w nauce
będę się spieszył!“
Z wdzięcznością Jurcio swojego tatki
ręce całuje,
O, jak Stróż Aniół małego Jurcia
tem się raduje!
Pewnie wieść dobrą o miłym chłopcu
wzniesie do Boga,
Nie zgine Polska, gdy sercom dzieci
nawet tak droga...
Bóg przejednany wróci nam wolność,
choć cud ten zwleka,
Może on blizki, może ta chwila
już niedaleka...

Sprzedanie Józefa.

„Patrzcie“, wołali bracia Józefowi,
„Idzie ten brat nasz, co dziwne śni rzeczy,
Zabijmy go więc, wszak nikt się nie dowie?“

„Ja nie chcę tego“, Juda im zaprzeczy,
„Wrzućmy go w studnię, zdjąwszy piękne szaty,
Nocą go pożre ogromny zwierz dziki!“
Wtem zastęp kupców nadjechał bogaty,
Brata sprzedali bracia za srebrniki.
O, źle, gdy zamiast dobroci w twem łonie
Gniew, złość, nienawiść i zazdrość zapłonie.

Wywyższenie Józefa.

Ten biedny Józef, od braci sprzedany,
Dziś wywyższony ponad wszystkie pany
Rządzi Egiptem. Na wozie złocistym
Jedzie w prześlicznym płaszczu swym wzorzystym.
Przed nim pokłony biją aż do ziemi,
Bóg go obdarzył łaskami swojemi,
Bo Pan Bóg zawsze, jak to mówią, radzi
O swojej wiernej i dobrej czeladzi.

Bezdomny pies.

Szczęśliwy chłopiec z tego Władka. Jedynak, bardzo przez oboje rodziców kochany. Mają oni na jednej z bocznych ulic niewielką piekarnią. Nie są bardzo zamożni, ale Władkowi niczego nie

braknie. Ma czyste i ciepłe ubranie, jedzenia do syta i pożywne. To też choć skończył zaledwie dwanaście lat, wyrósł na wielkiego i tęgiego chłopca.

I teraz oto idzie sobie ulicą, pogwizdując wesoło. Ręce włożył w kieszenie, czapkę nasunął na tył głowy i idzie z miną zucha.

Oczami rzuca wokoło, bo do figlów jedyny, ale że ma serce dobre, krzywdy nikomu by nie wyrządził.

Aż tu patrzy, kilkunastu mniejszych od niego chłopców zgromadziło się na małym placyku przy końcu ulicy.

— A tam co ciekawego, pomyślał i pędem pobiegł ku nim.

Chłopcy ustawili się w koło, w pośrodku którego znajdował się niewielki, wylękniony piesek.

Darmo biedak próbował wyrwać się i uciec swoim napastnikom. Ogłuszali go gwizdaniem, bili, kopali i błotem w ślepie rzucali, aż psisko, skomląc żałośnie, bezsilne już padło na ziemię.

W tej chwili przyskoczył do nich Władek.

— A wy co tu robicie?

Władka znali wszyscy chłopcy, mieszkający w pobliżu i szanowali go, lękając się jego silnej pięści, której moc już niejeden z nich poznał.

Rozstąpili się więc zaraz i oczom Władka przedstawił się obraz ledwie już dyszącego psa.

— A łobuzy, krzyknął, to tak nad bezbronnem stworzeniem się znęcacie? To już nie umiecie zabawić się czem innem?

— Nie ruszać mi go więcej, bo jak nie, to! — i pogroził im zaciśniętą pięścią. W jednej chwili rozbiegli się wszyscy. Biedne psisko, jak gdyby rozumiejąc, wdzięczny wzrok podniosło na swego obrońcę, a Władek schylił się, podniósł go ostrożnie i wygodnie na ręce ułożywszy, ruszył ku domowi.

Namyślił się jednak i zawrócił ku przeciwnej ulicy, gdzie zwykle stał policyant.

— Proszę pana, rzekł, nie wiem czyj jest ten pies, ale taki jest biedny i zbity, zabieram go tymczasem do siebie, jeśliby się kto zgłosił, to zaraz go oddam.

— Dobrze, dobrze, odpowiedział policyant, możesz go zabrać, bezdomne to jakieś psisko, już od kilku dni po ulicach się błąka, dziwię się nawet, że go jeszcze czyściciel nie sprzątnął.

Poszedł więc Władek spokojny, niosąc już teraz prawną swą własność. Przyszedłszy do domu, ułożył zbolałego psa wygodnie na słomie, pożywił go mlekiem i bułką, obmył z ran i błota i głaskał delikatnie po łebku.

— Mój Znajdek, mój biedny Znajdek.

A piesek rozpalonym językiem lizał mu ręce.

Ale wieczorem ojciec zapowiedział Władkowi stanowczo, że nie myśli od jego Znajdka opłacać rocznie dwudziestu marek podatku. Władek zmartwił się bardzo, udał się w prośby do matki, wreszcie uprosili ojca, że pies pókąd nie wydobrzeje, może pozostać u nich.

Nie wystarczało to jednak Władkowi. W nocy spać nie mógł i wstawał, aby zajrzeć do jęczącego cicho psa i rozmyślał, coby to zrobić, żeby go można na zawsze zatrzymać. Aż wreszcie wymyślił coś i uspokojony usnął.

Rano, nim jeszcze do szkoły poszedł, chciał sprawę skończyć.

— Mamo, zapytał, wiele też Jędrek dostaje miesięcznie za roznoszenie chleba i bułek?

— Dwie marki, synku.

— Doskonale, wykrzyknął uradowany. Dwa razy dwanaście jest dwadzieścia cztery; będę miał na opłacenie podatku i jeszcze zostanie cztery marki na wyżywienie psa. Dziś właśnie piętnasty, proszę mamy, niech ojciec wypowie Jędrkowi; piekarzy jest tylu, gdzieindziej zarobek sobie znajdzie, a od pierwszego ja będę bułki roznosił.

— A będzie ci się też to chciało tak wcześnie wstawać Władku?

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje! wesoło zawołał Władek i, całując rękę mamy na pożegnanie, niech już to mama z ojcem odrobi, prosił.

Ucałowała go matka, szczęśliwa z takiego zapału do pracy swojego syna.

Nadszedł pierwszy i Władek ze strachu, żeby nie zaspać, wcale nie usnął i wcześniej, niż było potrzeba z łóżka się zerwał.

Z koszem pełnym świeżych bułeczek na plecach, w towarzystwie wyleczonego już Znajdka w drogę się udał. Szybko poroznosił

pieczywo i do szkoły na czas zdążył. Od tego czasu dzień w dzień to samo się powtarzało. Tylko, że teraz w nocy spał już dobrze i mocno, spokojny, wiedząc, że będzie na czas obudzonym.

Znajdek zmiarkował widocznie, że od tego jego pobyt w domu rodziców Władka zależy, to też ledwie usłyszał, że piekarze na dole chleb i bułki z pieców wyciągają, zaraz wskakiwał na łóżko Władka i póty go trącał i po rękach lizał i naszczekiwał, póki chłopiec rozbudzony nie wstał wreszcie. Znajdek bardzo był pojętny, to też Władek wyuczył go różnych sztuk i tak, gdy tylko z bułkami do rzeźników przyszli, zaraz Znajdek, wdychając smaczną woń mięsa, ogonem kręcił i siadał na dwóch łapkach, służąc przed rzeźniczką, która rozbawiona tem, zawsze mu dała jakiś kąsek.

Gdy Władek szedł do szkoły, lub w święto do kościoła, wystarczało mu psu pokazać książkę, to pokorny do domu wracał. Zresztą byli nierozdzielni. Dumny szedł pies przy boku swego młodego pana, pewny, że teraz już żaden z dawnych jego prześladowców skrzywdziłby go nie śmiał z obawy przed Władkiem.

Władkowi z pewnością na przyszłość bardzo się przyda, że za młodu przyuczył się już do wczesnego wstawania, a choć mu to jeszcze czasem z trudem przychodzi, to wszystko to mu wynagradza wdzięczność i wielkie przywiązanie Znajdka.

LISTOPAD

Po zwiędłych liści miękkim kobiercu
Z szeptem pacierzy i z żalem w sercu
Idziemy w progi cmentarnej ciszy,
Zkąd nasze prośby Pan Bóg usłyszy:
„Daj Boże zmarłym odpoczywanie,
I spokój wieczny racz im dać Panie!“
Pod mroźnym wiatrem łza wnet zasycha,
Milknie na ustach modlitwa cicha,
Lecz Bóg, co patrzy na nas z wysoka,
Dojrzy ją w sercu, wyczyta z oka.

Na grobie mamy.

O mateńko, coś od dzieci
Odbiegła w świat drugi,
Czy tam widzisz, jak się świeci
Światełek rząd długi?
Widzisz świeczki na swym grobie
I wieniec z stokrotek?
To podarek, mamo, tobie
Od twoich sierotek.

Widzisz, mamo, w oczach łezki,
Co drżą pod powieką?
Ciebie Anioł wziął niebieski,
Nam w smutku dni cieką.
Choć nam niby nic nie braknie,
Odzieży ni chleba,
Jednak serce czegoś łaknie,
Coś nam jeszcze trzeba!
O mateńko, twej pieszczoty
I ciepłego słowa,
Co to serce wśród tęsknoty
W pamięci wciąż chowa....
Chodź popieści nas kto z ludzi,
Przygarnie, przytuli,
Zawsze w sercu żal się budzi:
To nie dłoń matuli!
Lecz się nie smuć, mamo droga,
Czas łzy nam osuszy,
Będziem prosić Pana Boga
O spokój twej duszy.

Wróbelki.

Cwir, ćwir, ćwir, ćwir, my wróbelki,
Dzisiaj wśród nas głód jest wielki,
Hej chłopczyku, hej panienko,
Rzućcież, rzućcie nam ziarenko,
Lub kruszynki od bułeczki,
Dajcie jeść nam choć troszeczki.
Ty nas wspomóż, wiejska dziatwo,
Bo głód znieść nam nie tak łatwo;
Chociaż wróbel szare ptasze,
Ale wierne wam i wasze,
Inne ptaszki, hen, gdzie słońce,
Uciekają w świata końce,
A wróbelki całą rzeszą,
Tu zostają, tam nie spieszą.
Choć nasz strój jest szary, brzydki,
Lecz podobny do tej świtki,
Do siermięgi dawnej kmiotka,
Której dziś już się nie spotka.
Nasze piórka zawsze szare,
Dawne wasze szaty stare,
Wiejskie dzieci ukochane,
Zapomniane, zaniedbane....

Zapał w sercach wciąż jednaki.
Głodne, biedne, szare ptaki,
Ćwir, ćwir, ćwir, ćwir, dobre dzieci,
Niechże to w was litość wznieci,
Ćwir, ćwir, głód wśród nas jest wielki,
Jeść więc, jeść, proszą wróbelki!

Łakomy Wojtuś.

Staś wyprawia dziś swoje imieniny. Mamusia pozwoliła mu zaprosić kilku kolegów na podwieczorek. Pachnie nalana do filiżanek czekolada i ułożona na talerzu cała góra placka ze śliwkami. Już wszystko do uczty przygotowane. Mamusia otwiera drzwi od drugiego pokoju, zkąd słychać gwar bawiących się chłopców i woła:

— Chodźcie chłopcy, siadajcie proszę i jedzcie! Stasiu, bądźże grzecznym gospodarzem i częstuj swoich gości!

No, do widzenia, bawcie się wesoło i nie zbrójcie tu czego. Ja na pół godzinki wyjść muszę.

— Będziemy grzeczni, proszę pani, — zapewnił najstarszy Józio — i wszyscy chłopcy ucałowali ręce matki Stasia, a ona uściskała ich i odeszła.

Sześciu chłopaczków otoczyło stół i z apetytem zajadać zaczęli.

— Twoje zdrowie Stachu! — zawołał Stefek, podnosząc filiżankę i duszkiem wypił czekoladę. Z buziami pełnemi jeszcze placka wybiegli chłopcy do drugiego pokoju, aby skończyć rozpoczętą zabawę.

Przy stole został tylko mały Wojtuś. Zajrzał do dzbanka i resztę czekolady wlał do swojej filiżanki, wziął jeszcze placka i po raz drugi jeść zaczął. Ale placek tak mu smakował, że jeden kawałek po drugim znikał w jego buzi.

— A gdzież to Wojtuś? — zawołał Józio i stanął w progu pokoju.

— Skończże raz łakomczuchu i chodź się z nami bawić, tak się tu objadasz, jak gdybyś głód w domu cierpiał, — mówił oburzony Józio.

Ale Wojtuś tak był zajęty, że nawet odpowiedzieć mu się nie chciało.

Tymczasem nadbiegli drudzy chłopcy.

Staś nie wiedział, co począć; nie chciał jako gospodarz bronić gościowi jedzenia, ale z żalem spojrzał na pusty już prawie talerz i na dno próżnego dzbanka, oczy mu zaszły łzami i szepnął, westchnąwszy cichutko:

— Dla mamusi nic już nie zostało.

— O, patrzcie go, raz tylko do roku ma imieniny, a taki skąpy i niegościnny, — zawołał Wojtuś.

Staś, chcąc uniknąć sprzeczki, wybiegł z towarzyszami do drugiego pokoju. Wkrótce słychać było wesołą komendę i maszerowanie chłopców. Wojtuś został sam. Zbladł, na czoło wystąpił mu kroplisty pot, skurczył się i krzywił od boleści żołądka i mdłości.

— Stasiu, ratuj mnie! wyjęczał wreszcie. Nadbiegli chłopcy i stanęli bezradni.

— Co począć? Co robić?

Tak im żal było cierpiącego kolegi, że już nawet do śmiechów i żartów ochoty nie mieli.

Na szczęście mama Stasia wróciła. Dowiedziawszy się, co zaszło, pobiegła do kuchni i po chwili przyniosła filiżankę gorących, gorzkich ziółek. Krzywił się Wojtuś na takie zakończenie uczty, ale wypić musiał.

Staś z drugimi swymi gośćmi przez kilka godzin bawił się wesoło, podczas gdy Wojtuś skurczony siedział w kącie kanapy, do zabawy nie zdolny. Staś ze swą mamą odprowadzili go wieczorem do domu; bladość z jego twarzy już znikła, ale wstyd w sercu pozostał na długo.

Jak Pan Bóg ludziom dał dziesięcioro przykazań.

U stóp Synai żydzi w swych namiotach
Lękiem przejęci, słuchają strwożeni,
A głos trąb huczy, bije grzmot po grzmotach
I razi w oczy jasny blask płomieni.
Gdy trwożnych Mojżesz sprowadził pod górę,
Wszystko ucichło, głos słychać w obłoku,
Co się wyraźnie wzbija hen, przez chmurę
I brzmi wśród żydów ciżby i natłoku.
Słucha przykazań wylękniona rzesza,
Na dwóch tablicach jest ich dziesięcioro,

Pan Bóg je zesłał na ręce Mojżesza
I kazał spełniać, nie zwlekając, skoro.
Odtąd, gdy człowiek przeciw nim wykroczy,
Boi się w górę podnieść grzeszne oczy.

Dawid i Goliat.

Stanęli walczyć Dawid wraz z Goliatem,
Ten olbrzym śmiał się, drwiąc srodze z pastucha,
Bo wszakże z siły on znany przed światem,
Wątpił, by pasterz mężnego był ducha.
Lecz ten mu odrzekł: „W oszczepy, w puklerze,
I w miecz tyś zbrojny, ja mam moją procę,
Ale ja w pomoc Pana Boga wierzę,
Co jest silniejszy nad wszelkie przemoce!“
Tu, strzałę puścił, ugodził Goliata
I miecz wyrwawszy, uciął mu nim głowę;
Bóg ku przestrodze pysznych tego świata
Wskazał w tym czynie cuda swoje nowe.

W księgarni.

Do księgarni za trojaka
Przyszła zeszyt kupić Frania,
A tam książek ilość taka,

Więc oczami je pochłania.
„Gdybyż mieć z nich chociaż jedną!“
Tak po cichu wzdycha skrycie.
„Cóż, gdy mama tak jest biedną
I tak drogie teraz życie!“
Książki śliczne, malowane,
W nich powiastki są i wiersze;
Dziecię Jezus, ukochane,
Przyjm westchnienie me najszczersze:
„Tak bym bardzo, bardzo chciała,
Mieć książeczkę do czytania!“
„Co tak patrzysz moja mała?“
Aż pobladła nagle Frania.
„Ależ nie bój się tak przecie
I odpowiedz na pytanie,
Czy po polsku czytasz, dziecię?“
Pyta pan znów małą Franię.
„Czytam, panie, odpowiada,
Ale u nas straszna bieda,
Choćbym czytać bardzo rada,
To książeczki nikt mi nie da.“
„Już się zbliża pora gwiazdki,
Bóg obdarzać każe dzieci,
Dam ci książkę, w niej powiastki;

Niechże szczęście ci zaświeci!“
Drży serduszko Frani w łonie,
Na swą książkę patrzy z bliska
I dobrego pana dłonie
Do ust tuli i przyciska.

Lalka na grobie.

U rodziców Maniusi służył za ogrodniczka mały Janek-sierota. Ogromnie lubiła go Maniusia, bo też dobry to był i pilny bardzo chłopaczek. Bywało nieraz, chociaż przy ogrodniku dość miał zajęcia, uskromni się z niem, pospieszy, aby potem jeszcze małej panience posłużyć.

Na prośby Maniusi założył dla niej maleńki ogródek. Najpiękniejsze kwitły w nim kwiatki, a na grządkach niktby ani jednego chwastu nie dojrzał. Klombiki obłożył Janek obielonymi kamieniami i w kąciku ogródka urządził darniową ławeczkę, na której często po skończonem zajęciu z Maniusią siadywał.

Maniusia brała książeczkę i uczyła czytać po polsku Janka-sierotę, a potem znów dobry Janek podzielał z Manią zabawę, bo Maniusia, pozbawiona towarzystwa rówieśniczek, nudziła się bardzo.

Prowadzali więc razem po ścieżkach ogródka lalkę Mani, Helenkę, dla której nawet ogrodniczek zrobił łóżeczko z patyczków.

Wesoło na pracy, nauce i zabawie przeszła wiosna i lato minęło. Nadeszła smutna jesień. Janek wątł był zawsze i słaby i często za

piersi się chwytał i kaszlał mocno. Teraz z nastaniem chłodnych wieczorów i ranków znacznie mu się pogorszyło.

Wezwano doktora, zapisał mu jakieś lekarstwo i położyć się kazał.

Napróżno jednak Maniusia z swą mamą nosiła leżącemu u ogrodnika chłopczykowi leki, miód, mleko i rosołki. Z wdzięcznością spoglądał na swoją panienkę, ale jeść nic nie mógł. Męczył się jeszcze czas jakiś, wreszcie gorączką strawiony cichutko zasnął na wieki. Maniusia bardzo płakała, idąc za jego pogrzebem; potem często na grób jego chodziła, strojąc go ostatnimi jesiennymi kwiatkami.

Ale wkrótce zabrakło już kwiatków, pierwszy mróz zwarzył ostatnie liście i szron ziemię pobielił, a rodzice Maniusi zapowiedzieli jej stanowczo, że teraz już na cmentarz chodzić jej nie wolno, bo mogłaby sama zaziębić się i jak Janek rozchorować się i umrzeć.

— Biedny Janek, rozmyślała Maniusia, jakże mu tam samemu tęskno będzie! I ta myśl jej spokoju nie dawała. Wreszcie jednego ranka, choć zwykle bardzo rodzicom posłuszna, postanowiła mimo zakazu raz jeszcze na cmentarz się wybrać.

Cichaczem, ciepło ubrana, wymknęła się z domu, niosąc również w najgrubszy płaszczyk otuloną laleczkę i jej łóżeczko przez Janka zrobione.

Przybiegłszy na cmentarz, odszukała zaniedbaną w ostatnim czasie mogiłkę Janka. Obu rączkami zgarnęła z niej powiędłe liście, a potem uklękła i zmówiła głośno za duszę Janka paciorek.

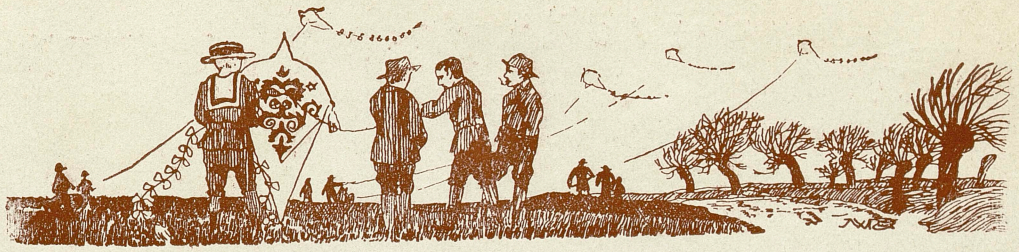

Gdy z klęczek powstała, z cichutkiem westchnieniem ustawiła łóżeczko lalki na grobie, ułożyła w niem laleczkę, szepcąc:

— Przyniosłam ci, Janku, Helenkę, mnie tu już teraz przychodzić nie wolno, ale ją mieć będziesz, nie będzie ci tak smutno samemu.

I na mogiłkę Janka-sieroty dwie łezki Maniusi opadły, jedna z tęsknoty za nim, a drugą wycisnął żal rozstania z ulubioną laleczką.

Gdy na wiosnę Maniusia znowu na cmentarz pobiegła, zastała laleczkę wprawdzie deszczami jesiennymi i śniegiem zimowym bardzo zniszczoną, ale za to w miejscu, gdzie jesienią czyste jej łezki opadły, wykwitły śliczne i jak niebo błękitne niezapominajki.

GRUDZIEŃ

Po długiej, brzydkiej, dżdżystej jesieni
Znów nam się teraz krajobraz zmieni.
Mróz schwycił ziemię, mocno ją trzyma,
Na świat zjechała królowa zima
I z wysokości tronu swojego
Sypie nam garście śniegu białego.
Śnieżysty puszek przyokrył drzewa,
Cicho, bo nigdzie ptaszek nie śpiewa;
Czasem z za krzaczka coś się poruszy,
Strzał nagle padnie wśród leśnej głuszy,
Umyka, kulką trafiony zając,
Póki nie legnie, krwią swą śnieg plamiąc.
Taka już biednych zajączków dola,
Że ich myśliwi tropią wśród pola.

Do Matki Boskiej Niepokalanej.

Przenajświętsza Panienko,
Niebios jasna zorzeńko,
Maryo Niepokalana!
Niesiem serca w ofierze

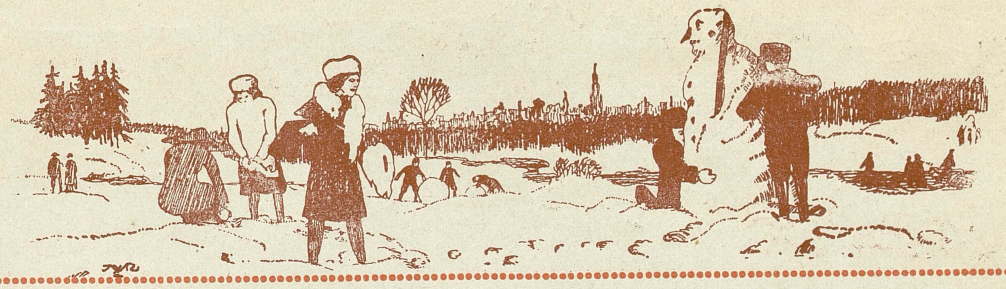

I pokornie i szczerze,
O, matko ukochana,
Prosim usty drżącemi,
Abyś z naszej tej ziemi
Zmyła wady i grzechy!
Byśmy złem nieskalani
U stóp Twoich, o Pani,
Mogli czerpać pociechy!
Byśmy godni tej chwały
Poprzez życia bieg cały,
Wznosząc w górę oczęta,
Szli wciąż naprzód, wytrwale,
Gdzie w niebieskiej tam chwale
Nam królujesz o święta,
Niepokalana!

Co chcesz na gwiazdkę?

„Wkrótce w górze znów zaświeci
Jasna gwiazdka, radość dzieci;
Powiedz mi też, moja miła,
Cobyś sobie mieć życzyła?
Czy chcesz lalkę, czy słodycze?“
„Ach, mamusiu, co ja życzę?

Ja pieniędzy chcę, pieniędzy,
Bo na świecie tyle nędzy!
Nad zabawki wolę grosze,
Daj je, mamo, daj mi, proszę!
Niech i biednym zajaśnieje
Gwiazdka, budząc ich nadzieję!“

Gwiazdka w ochronce.

— Janinko, jedz prędzej obiadek!

— Dla czego, mamo?

— Dzieci nie powinny zawsze pytać dla czego; mama każe, więc słuchać trzeba!

W chwilę potem mama z Janinką wyszły z domu.

— Dokąd pójdziemy, mamusiu?

— Zobaczysz, jestem pewna, że się dobrze zabawisz.

Minęły kilka ulic, a potem mama wzięła Janinkę za rączkę i wprowadziła ją do obcego jej zupełnie domu. Przez sień przebiegały w tę i drugą stronę różne panie, bardzo zdaje się zajęte. Do jednej z nich zbliżyła się mama i przywitawszy się z nią, Janince też to zrobić kazała. Ta pani wprowadziła je do dużego pokoju. Tam, na poustawianych rzędami ławeczkach siedziały dzieci, same malutkie, od trzech do sześciu latek mające; a było ich bardzo, bardzo wiele.

Janinka zdziwiła się. Nigdy jeszcze nie widziała tyle dzieci razem, i do tego tak cichych, ona sama jedna więcej by narobiła hałasu.

Pani szepnęła coś mamie i wyszły do drugiego pokoju. Tam na stołach leżały porozkładane śliczne robótki dzieci: pudełeczka z tektury lepione i wyszywane barwnemi włóczkami, koszyczki, podstawki i różne inne rzeczy. Obok tych przedmiotów leżały zabawki przeznaczone dla każdego pilnego dziecka.

Małe laleczki, koniki, trąbki i buciki, prócz tego pierniki, jabłuszka, orzeszki.

— Jak tu ładnie i jakie to wszystko śliczne, — zawołała Janinka.

— Podoba ci się tu? — zaśmiała się radośnie pani, pochylając się ku Janince.

— Widzisz, tu jest ochronka, szkółka dla małych dzieci. Te robótki to wszystko ich drobne paluszki wykonały. Ale chodźmy już teraz na popis!

Powróciły więc do wielkiego pokoju.

Pani dała dzieciom znak ręką i wszystkie powstały i, przeżegnawszy się, pacierz odmawiać zaczęły. Póki mówiły Ojcze nasz, Zdrowaś Marya i Wierzę, Janinka im wtórzyła, ale potem umilkła zawstydzona. Taki długi pacierz!

Ona wcale jeszcze nie umie ani dziesięcioro przykazań, ani sześciu prawd, ani innych modlitw, które te maleńkie dzieci tak gładko mówią. A potem egzamin z historyi świętej. Pani zadaje pytania, a dzieci odpowiadają.

Jak one wszystko wiedzą, nic się nie jąkają, ani nie mylą. Janinka okropnie się boi, żeby pani czasem i jej o co nie spytała.

Dopiero to byłby wstyd! Ona wie, że mamusia też nie dawno o narodzeniu Dzieciątka Jezus opowiadała, ale uwaga jej wtedy była gdzie indziej i nic już nie pamięta.

Na szczęście egzamin się kończy. Dzieci wszystkie razem mówią różne zabawne wierszyki, potem znowu śpiewają.

Następnie wypoczynek i — podnosi się opuszczona zasłona, a oczom dzieci ukazują się dwie ślicznie ustrojone chojenki. Pośrodku zaś, w żłóbku, leży Dzieciątko, a inne dzieci, poprzebierane za Najświętszą Pannę, św. Józefa, Anioła, Króli i pasterzy, klęczą do koła.

To dopiero coś ślicznego. Dzieci, siedzące w ławeczkach i Janinka pootwierały buzie i wołają: Aaa! Potem ksiądz proboszcz w kilku słowach przemówił do dzieci. Chwalił ich pilność w wyuczeniu się tylu ładnych rzeczy i pytał, czy w domu także rano i wieczorem paciorek odmawiają?

— Tak, tak, tak, odpowiadały dzieci, a Janinka zaczerwieniła się, bo gdyby nie przypomnienie mamy, nierazby o paciorku zapomniała.

Popis dzieci skończył się, teraz miały dostać podarki.

Mama i Janinka podziękowały pani za mile spędzony czas i, pożegnawszy ją, odeszły.

— Mamusiu, zawołała Janinka, ślicznie tam było, ja też już nie chcę być leniuszkiem i nieukiem, chciałabym się uczyć.

— Dobrze, Janinko, cieszę się z twego postanowienia, dla tego właśnie tam cię zaprowadziłam, abyś widziała, ile przyjemności daje pilność i nauka.

— Po wakacyach do szkółki chodzić zaczniesz!

Janinka z radością wracając do domu, myślała o tem, że już niedługo do szkoły chodzić będzie...

Z dzienniczka chłopca.

1 grudnia.

Już wszyscy zaczynają myśleć o gwiazdce. Czem kto może, drugim chciałby zrobić przyjemność. Ja też już od dawna zastanawiałem się nad tem, czem bym ucieszył moją mamę? I pomyślałem, że jej jedynie zawdzięczam to, że umiem czytać i pisać po polsku, boć przecie w szkole uczą mnie tylko po niemiecku, samych der, die, dasów. Codziennie, złożywszy swą pracę, siada moja kochana mateczka wieczorem do nauki z nami. Tak ją nieraz krzyż boli od ciągłego schylania się nad maszyną, oczy czerwienią się, a jednak naszej nauki zaniedbać nie chce. Biedna mama! Niechże ma dowód tego, czego mnie nauczyła. Zawsze w niedzielę daje nam mama po dwa fenygi, złożyłem moje oszczędności i kupiłem ten zeszyt. Do gwiazdki pewnie cały zapiszę, toż to się mama ucieszy. Chcę w nim zapisywać wszystko, co mnie każdego dnia spotka; miłe i przykre rzeczy.

5 grudnia.

Skończyłem już odrabianie lekcyi i wydobyłem z ukrycia mój zeszyt. Chowam się z pisaniem, nawet Zosia nic o niem nie wie.

Ciekawy jestem, co też ona da mamie na gwiazdkę. Wstyd mnie bierze przyznać się do złego, ale obiecałem sobie, że wszystko pisać będę, więc słowa dotrzymać muszę. Nie dobry jestem, tak bardzo kocham mamę, a jednak ją martwię. Chodzę już do Spowiedzi św. i wiem, jak brzydkim grzechem jest zazdrość, jak prowadzi do wszystkiego złego, a jednak jestem zazdrosny! Biednej Zosi wczoraj znowu było gorzej; od kilku dni wcale nawet do szkoły nie chodzi i leży w łóżeczku, bo ją bardzo jej krótsza nóżka boli. Wczoraj usiadła mama przy niej na chwilę, a potem uściskała, ucałowała ją serdecznie i znów do roboty wróciła, nie pocałowawszy mnie wcale. Wtedy poszedłem do Zosi i uszczypnąłem ją dość mocno. Zosia nie poskarżyła się wcale, tylko cichutko zapłakała. Mama jednak dojrzała to. Spojrzenia mamy chyba nigdy nie zapomnę! Po chwili dała mi mama arkusz papieru i kazała napisać na nim wielkiemi literami: „Tadziu, zazdrość jest brzydkim grzechem, a słabszym dokuczają tylko źli i niedobrzy!“ Potem kazała mi mama powiesić ten napis nad moją szafką i często go odczytywać. O, byłbym wolał każdą najsroższą karę, niż to smutne spojrzenie mamy!

8 grudnia.

Dziś wielkie święto Matki Boskiej. Modliłem się więc do Niej serdecznie o spokój dla duszy tatusia i poleciłem Najświętszej Pannie mamę, Zosię i siebie i cały świat.

Wczoraj przyszła panna Stefcia i przyniosła mamie nową robotę. Została dosyć długo i, rozglądając się po pokoju, dojrzała

tę nieszczęsną kartę z napisem: — Tadziu, zazdrość jest brzydkim grzechem, a słabszym dokuczają tylko źli i niedobrzy! — Jakto — zawołała — czyżby Tadzio był zazdrosnym i dokuczał komu? Zaczerwieniłem się po uszy, a mama, widząc to, prędko o czem innem mówić zaczęła. Panna Stefka niedługo potem odeszła, a mama pozwoliła mi kartę z nad szafki zedrzeć. Moja kochana mamusia!

12 grudnia

Już wiem, czem Zosia chce mamie zrobić przyjemność na gwiazdkę. Przyznała mi się. Uczy się wierszyka o małym Jezusie. Bardzo ładny wierszyk i mama pewnie się ucieszy. Ale przecież i z mego dziennika też chyba będzie rada. Zosi nic o nim nie mówiłem, dziewczynki to gaduły, powiedziałaby mamie i nie byłoby niespodzianki. Ogromnie jestem wesoły, bo zdaje mi się, że dobre dostanę świadectwo. Ach, żeby tylko... To byłaby dla mamy najlepsza gwiazdka.

14 grudnia

Niedobry jestem! Zawsze coś zbroję i zmartwię mamę. Posprzeczaliśmy się wczoraj z kolegami, wychodząc ze szkoły i z tego przyszło do bójki. Zapomniałem o przestrogach mamy i w gniewie jak indyk zaperzony po ulicy biegałem. Wtem potknąłem się, padłem i rozdarłem płaszczyk, brudząc go prócz tego okropnie w błocie.

Od razu mi ochota do bójki odeszła. Nie wiedziałem sam, jak przepraszać mamę, ale mama nic nie powiedziała, tylko znowu z wyrzutem spojrzała na mnie. W nocy obudziłem się i zdawało mi się,

że już zupełnie jestem wyspany, a tu patrzę, lampa jeszcze się świeci, a mama schylona czyści i zeszywa mój płaszczyk. O, jakże mi żal było mamy, jak przykro, że to przezemnie tak się męczy po nocy.

17 grudnia.

Wczoraj wieczorem ogromnie byłem przy pacierzu roztargniony. Usta powtarzały dobrze znane słowa, ale myśl miałem wszystkiem innem zajętą, tylko nie modlitwą. Myślałem o świadectwie, które niedługo dostanę, o moim dzienniczku, o świętach i o tem, co nam też gwiazdka przyniesie. Byłem też bardzo śpiący i ziewałem. Nareszcie skończyłem. Gdym na dobranoc całował rękę mamy, zapytała, patrząc mi w oczy: — Coby powiedział nauczyciel, gdybyś przemawiał do niego bez szacunku, ziewając i jąkając się? — Gniewałby się, mamo — odpowiedziałem. — Widzisz, jakże więc możesz do Boga, który jest ponad nami wszystkimi, przemawiać bez szacunku i miłości? Pan Bóg takiego pacierza nie wysłucha; klęknij, Tadziu, i raz jeszcze zmów go pobożnie. — Ucałowałem ręce mamy ze łzami i uważnie pacierz zmówiłem.

20 grudnia.

Ach, co za radość, co za szczęście! Świadectwo doskonałe. Mamusia ze łzami radości mnie ucałowała. Taki jestem szczęśliwy, że aż strach! Mam już najlepszy podarek dla mamy, nie będę już więcej pisać dzienniczka. Z jaką radością zaśpiewam w święta: — Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“

Gwiazdor.

Gdy betleemska gwiazdka zaświeci,
Dąży na ziemię Gwiazdor do dzieci.
Niepowstrzymany w swoim pochodzie,
Chociaż mu wicher igra po brodzie,
On pod ciężarem swoim w pół zgięty
Idzie obdarzać dzieci w dzień święty.
Wszędzie zagląda, w każde okienko,
Tam, gdzie śpiewają nad swą chojenką
Grzeczne dziateczki o tej Dziecinie,
Co przyszła na świat w cudów godzinie.
Staje pod drzwiami, miłej piosence
Się przysłuchuje i chucha w ręce,
Wreszcie zapuka do drzwiczek chatki,
Gdzie go otoczą wnet grzeczne dziatki.
„Niech będzie Chrystus Pan pochwalony!“
Mówi pod workiem swym pochylony,
A potem pyta: „Jakże paciorek?
Bo na nieuków mam tutaj worek,
A zaś dla grzecznych trochę słodyczy;
Chodźcie i mówcie, kto czego życzy,
Ale niech najprzód każde tu klęknie
I swój paciorek odmówi pięknie!“
Czasem się które ze strachu jąka,

Wnet stary Gwiazdor brwi marszczy, chrząka,
Wyciąga worek i głową kiwa,
Różnie to bywa, oj, różnie bywa!
Lecz ostatecznie, gdy jest odwaga,
To każde dziecię wnet go przebłaga,
I przyniesione rozdaje dary
Grzecznym dziateczkom ten Gwiazdor stary.
Ileż radości, ileż tam krzyku!
A co dziękczynień dlań jest, bez liku...
A Gwiazdor znowu w szybkim swym biegu
Podąża dalej, brnąc nieraz w śniegu.
Z domu do domu, zagląda wszędzie
Tam, gdzie przez dziatwę witanym będzie,
I z worka swego bez dna i końca
Wyciąga skarby dłoń jego drżąca.
Idzie, gdzie śmiech jest i tam, gdzie płaczą,
Tam, gdzie od bólu serca kołaczą,
I wszędzie niesie dobrą nowinę,
Że Bóg nam na świat zesłał Dziecinę.
Aż wyczerpany wraca do nieba
I opowiada, co ludziom trzeba.
Słucha go pilnie Anioł niebieski,
Nad dolą ludzką roni swe łezki,
Do Pana Boga biegnie czemprędzej,

Skarżyć się ludzkiej na ziemi nędzy:
„Och, są tam tacy, którym jest smutno,
Zły los ich ściska ręką okrutną,
Pierzchły z ich twarzy jasne uśmiechy
I dziś nie mają nawet pociechy!“
Pan Bóg nad dolą ludzi się zżalił,
W sercach ich bliźnich miłość rozpalił,
By szli z pomocą uboższej braci,
A oni szepcą: „Bóg wam zapłaci!“
Bo gdy radosny wstanie dzień święty,
Ma szczęściem cały świat być przejęty!

Jezus nam się narodził!

Chodźcie nucić kolędy!
Chodźcie, dzieci, z piosenką,
Chodźcie śpiewać ją wszędy;
Dziś z Najświętszą Panienką
Cieszmy wszyscy się społem
Naszem szczęściem wesołem:

Jezus nam się narodził!
Cześć Mu niosą królowie,
Gwiazdka im Go wskazała,
Cześć głoszą pastuszkowie:
Chwała Panu, oj chwała!

I my cieszmy się wszyscy
I dalecy i bliscy:
Jezus nam się narodził!

O, Jezusie malutki,
Oj, Dziecino, wprost z nieba
Przyszłaś zmazać grzech, smutki,
Przyszłaś dać nam, co trzeba.
To też nucim przejęci,
Niech się dzionek ten święci:
Jezus nam się narodził!

Pożegnanie i powitanie roku.

Oj, roczku stary, żegnamy cię!
Czasem nam było smutno i źle,
Lecz i śmiech nieraz wybiegł na twarz;
Dziś już odchodzisz, o roczku nasz,
Więc cię żegnamy, gdy rzucasz świat,
Idź w latek dawno minionych ślad!
Już jesteś, roczku, ty nowy nasz?
Co z sobą niesiesz, co nam też dasz?
Nie same róże rzucasz wśród dróg,
Oj, my to wiemy! Lecz dobry Bóg,
Choć zsyła smutki, choć zsyła łzy,
Ześle znów słonko, co przedrze mgły.

Hej, roczku nowy, witamy cię,
Pan Bóg jest dobry, nie będzie źle.
Niech w sercach kwitnie nam cnoty kwiat,
A będzie cały śmiał nam się świat;
Patrzymy z wiarą w przyszłości dni,
Bo nam nadzieją serduszko drży!

Rozwiązanie zagadek.

I. Wio-sen-ka.

II. Ma-sło. Sło-ma.

III. Środa.

IV. Manna, panna, sanna, wanna.

Rozwiązanie zagadek rachunkowych.

I. Marylka jest w klasie dwudziestą.

II. Halinka ma lat szesnaście.

III. Do mieszkania Franka prowadzi 119 schodów.

Rozwiązanie zagadek historycznych.

I. Wanda — wskoczyła do Wisły.

II. Prapradziadowie nasi przyjęli Wiarę św. w r. 965. — Dąbrówka — Mieczysław.

III. Sól zawdzięczamy św. Kindze, wydobywają ją w Wieliczce; mąż św. Kunegundy Bolesław Wstydliwy.

IV. Św. Wojciech.

NIMOSSO BIBLIOT